MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 2 WARSZAWA, 13 STYCZNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

RZYM CZY BIZANCJUM?

ZAGADNIENIE reformy konstytucji przestało być tematem dyskusji publicznej w Polsce. Spostrzeżono zapewne, że nie widać na powierzchni sił, któreby nietylko chciały, lecz mogły reformę tę przeprowadzić. A może myśl powszechna nie jest przygotowana do rozwiązania tak trudnego zadania? Bo z tego trzeba sobie zdać sprawę, że chodzi tu o rzecz niełatwą. Konstytucja dla państwa nie może być wymyślona; jeśli ma być użyteczna, musi odpowiadać wewnętrznej strukturze narodu, jego aktualnym potrzebom, oraz być w zgodzie z tradycją dziejową. Ci, którzy chcą pisać nowe ustawy, narzucające ustrój polityczny państwu, muszą mieć nietylko wzrok przenikliwy i odczucie życia społecznego, lecz także wielką wiedzę, obejmującą rozwój budowy państwowej nie tylko w Polsce, lecz w całym świecie cywilizowanym na przestrzeni wieków.

Muszą także mieć zdolność decyzji i umiejętność oparcia się na zasadach, odpowiadających okresowi dziejowemu w którym żyjemy. Ustalenie zasad na których ma się opierać ustrój państwowy Polski współczesnej powinno być pierwszym punktem wszelkiej dyskusji „konstytucyjnej". Bez określenia tych zasad będzie praca ustawodawcza w tym zakresie niczem więcej, jak mechanicznym zbiorem mniej lub więcej udanych kombinacyj, które to i owo mogą poprawić, lecz nie będą mogły być uważane za rzeczywistą reformę.

Badając budowę państw, jakie w ciągu wielu tysięcy lat powstawały i ginęły na wybrzeżach morza Śródziemnego, a potem w Europie, widzimy, że w ich życiu zaznaczają się dwie podstawowe siły, które wpływają decydująco na ich ustrój. Prof. Antoni Wereszczyński w książce[1]), której przeczytanie jaknajwięcej zalecamy wszystkim interesującym się omawianą tu sprawą, tak siły te określa: „Jedna z nich, to instynkt utrzymania bytu jednostki, ochronienia życia przed zagładą, zaspokojenia piekących potrzeb człowieka... Druga... to dążność do przedłużenia swego „ja" w życiu następnych pokoleń, do utrzymania bytu gatunku, a zatem do zapewnienia istnienia i rozwoju pewnej zbiorowości". Wyrazem dążenia do zabezpieczenia bytu jednostki jest „prąd indywidualizmu, zmierzający do zabezpieczenia możliwie największych praw jednostce kosztem zbiorowości", wyrazem dążności drugiej jest „podporządkowanie jednostki interesowi jakiejś całości, czy zbiorowości".

W wieku XIX przeważało mniemanie, że rozwój instytucji państwowej wykazywał stałą dążność rozwojową w kierunku uniezależniania jednostki od zbiorowości, na tej teorji były zbudowane państwa demokratyczne i liberalne. W rzeczywistości było inaczej, rozwój ten szedł po linji falistej, a w ciągu wieków historji państw europejskich da się skonstatować występowanie kolejne przewagi dążeń stawiających to jednostkę, to zbiorowość na pierwszem miejscu. Państwa starożytne były przeważnie oparte na żywem poczuciu konieczności podporządkowania jednostki interesom zbiorowości, dla zapewnienia skutecznie bytu całości. Cel tu osiągano wszakże różnemi sposobami, skąd rozróżnić się dają dwa typy państw na tej zasadzie oparte, określimy je dla ułatwienia sobie dalszych rozważań jako typ zachodni i typ wschodni. Za przykład pierwszego obierzemy sobie państwo Rzymskie, za przykład drugiego Bizancjum, które miało wprawdzie pierwiastki rzymskie lecz przetworzone przez duszę i obyczaj wschodni.

Że rozwój urządzeń państwowych idzie po linji falistej, tego dowodzą dzieje naszego kontynentu. Ni-

[1]) „Państwo antyczne i jego renesansy" Lwów 1928.

gdy wszakże nie ujawniało się to z taką siłą, jak na początku wieku XX-go. Wiek XIX był okresem nieustającej walki jednostki o wyzwolenie się z więzów nałożonych jej przez zbiorowość. Dążenie to znalazło wyraz w ewolucji budowy państw europejskich, która zapewniała triumf państwu demokratycznemu i liberalnemu. W wieku XX po wielkiej wojnie widzimy w szeregu państw reakcję przeciw wybujałemu indywidualizmowi. Dziś państwo demokratyczne i liberalne nie istnieje już w szeregu krajów—we Włoszech, w Hiszpanji, w Rosji, w Turcji... a w innych przechodzi przez poważny kryzys, który nie wiadomo dokąd doprowadzi.

Prof. Wereszczyński nazywa wskazane powyżej zjawisko renesansem państwa antycznego. Jeśli zgodzić się z jego djagnozą zasadniczą, to trzeba ją uzupełnić tem, że w renesansie tym można stwierdzić dwa wyraźne kierunki: w jednym idą Włochy, w drugim Rosja, jeden nawiązuje do tradycyj rzymskich, drugi do bizantyjskich.

Szukając najlepszej dla siebie konstytucji musi się Polska przedewszystkiem zdecydować na to, czy chce nawiązać do tradycji wieku XIX, czy chce trwać przy zasadach, na których oparte jest państwo demokratyczne i liberalne, czy też ma szukać wzorów w czasach dawniejszych, gdy interes zbiorowości panował niepodzielnie nad interesami jednostki. Wydaje się nam, że musimy uledz duchowi czasu, który jest zresztą zgodny z potrzebami nowoczesnego państwa polskiego. Szukających uzasadnienia dla tego twierdzenia odsyłamy do rozprawy Romana Dmowskiego „Zagadnienie Rządu"[2]).

Trudności polityczne, społeczne i gospodarcze, przez jakie przechodzą wszystkie państwa europejskie, a zwłaszcza państwa nowe, zmuszają je do zapewnienia sobie władzy silnej i trwałej, nie ulegającej chwilowym wahaniom opinji lub nastrojów. Upieranie się przy zasadach wieku XIX, będących rozwinięciem teoryj powstałych w wieku XVIII, uważanie wciąż za mistrza swego Russa, prowadziłoby do osłabienia państwa polskiego i odjęcia nam możności wytrzymania współzawodnictwa z państwami, zbudowanemi na podstawach nowoczesnych, zgodnych zresztą z temi, na jakich było zbudowane państwo antyczne. Powtórzyłoby się to, co już było w wieku XVIII; gdy Polska nie podążyła za ewolucją innych państw i stała się wśród nich anachronizmem.

Godząc się wszakże na opuszczenie jednostki i oświadczenie się przy interesie zbiorowym, wyprowadzając stąd wszystkie konsekwencje, baczyć jednak musimy, byśmy tego interesu zbiorowego strzegli we właściwy sposób i właściwemi środkami. Zagadnienie to narzuca się ze szczególną siłą Polsce właśnie, leżącej na pół drogi między Wschodem i Zachodem i mającej w swej kulturze i cywilizacji zarówno elementy wschodnie jak zachodnie. Inne państwa wybrały swą drogę bez wahania — Italja i Hiszpanja poszły za wskazaniami Rzymu, Rosja poszukała (choć nieświadomie) wzorów w Bizancjum. Polska przechodzi okres wahania, a znaczna część naszych walk wewnętrznych stąd właśnie pochodzi.

Rzym czy Bizancjum?

W państwie rzymskiem panowało pełne podporządkowanie obywatela interesowi całości. Istniała specjalna instytucja państwowa — dyktatura — która podporządkowanie to zapewniała w okresach niebezpieczeństwa wewnętrznego. Lecz państwo rzymskie ograniczało się do podejmowania tych tylko zadań, które były niezbędne dla jego potęgi i dla rozwoju i życia zbiorowości, a nie dążyło wcale do wtrącania się w te dziedziny, gdzie najlepiej pozostawić działanie inicjatywie prywatnej lub społecznej. Stworzyło ono warunki rozwoju instytucji s a m o r z ą d u, obdarzonego szerokim zakresem działania, w zakresie ż y c i a g o s p o d a r c z e g o zabiegało li tylko o zapewnienie pomyślnych warunków dla działalności jednostek, nie krępując tej działalności i nie biorąc na siebie bezpośrednich zadań gospodarczych. Wreszcie opierało się państwo rzymskie na niewzruszonym fundamencie p r a w o r z ą d n o ś c i i potrafiło wyrobić w swych obywatelach tak silne poczucie prawa, jakiego bodaj nie było nigdzie indziej.

Zgoła inaczej było w Bizancjum. Imperator nie był tam dyktatorem, wywodzącym swą władzę z tradycyjnych instytucyj republiki rzymskiej, lecz despotą wschodnim, którego władza nie miała granic. Nie było w takiem państwie miejsca na życie samoistne instytucyj samorządowych, władza była ściśle scentralizowana. Państwo wtrącało się nietylko w działalność gospodarczą mieszkańców, lecz brało całe obszary tej działalności na siebie, normowało szczegółowemi przepisami życie codzienne obywateli. Państwo wzbraniało obywatelom surowo zajmowania się sprawami publicznemi, co doprowadzało do zaniku wszelkiego życia politycznego. Prawo nie było przestrzegane ani przez rządzących ani przez rządzonych, jedynem prawem bowiem była wola panującego.

Trzebaby sięgnąć głębiej, by sobie dokładnie uprzytomnić radykalną różnicę, jaka istnieje między ustrojem państwowym Rzymu i Bizancjum, mimo że obydwa te ustroje wywodzą się z zasady supremacji zbiorowości nad jednostką. To już wszakże, na cośmy powyżej zwrócili uwagę, jest w naszem mniemaniu wystarczające, by się oświadczyć po stronie Rzymu. Tylko ustrój państwowy, wywodzący się z tradycyjnych zasad, na których oparte było państwo rzymskie, może odpowiadać Polsce współczesnej. Wszelka naprawa konstytucji, która nie będzie wynikiem gruntownego przemyślenia zasad, na których ma być oparte życie polskie i rozwój form ustrojowych narodu polskiego w przyszłości, będzie powierzchowna i przemijająca.

[2]) Zeszyt pierwszy „Wskazań Programowych Obozu Wielkiej Polski".

Dyskusja i walka o to zagadnienie jest tylko częścią dyskusji i walki o rzecz zasadniczą — czy w życiu Polski zwyciężą elementy wschodnie czy zachodnie, czy zgodnie z naszą historją oddamy pierwszeństwo tradycjom Rzymu starożytnego, czy też porzucimy je na rzecz spuścizny Bizancjum...

Nie jest to w naszem przekonaniu spór teoretyczny, sprawa takich lub innych upodobań. Tu rozstrzyga się zagadnienie trwałości państwa polskiego. Dla uratowania tego państwa od pochłonięcia przez potęgę germanizmu przyjął w wieku X Mieszko I chrzest, a przez to wszedł w koło ludów o cywilizacji zachodniej. Poza wieloma innemi, analogiczne powody zmuszają nas do wzmocnienia, a gdzie potrzeba nawiązania nowych nici, łączących nas z narodami cywilizacji łacińskiej.

W imię trwałości Polski — Rzym, a nie Bizancjum.

STANISŁAW KOZICKI

KU KATASTROFIE KONSERWATYZMU

„Beatus vir, qui... in cathedra pestilentiae non sedit".
(Introit z mszy w dzień św. Jana Kantego)

I

REDAKCJA nieperjodyku zachowawczego, *„Pro fide, rege et lege"*, którego mam zaszczyt być redaktorem, otrzymała w ciągu bieżącego lata dwa wcale charakterystyczne listy. Pierwszy z nich opiewał jak następuje:

„Prawie bez echa, prócz krótkich wzmianek kronikarskich, zaszedł fakt połączenia się „Klubu Pracy" ze „Związkiem Naprawy Rzeczypospolitej" w jedną organizację pod nazwą „Zjednoczenie pracy miast i wsi". A jednak fakt ten bynajmniej nie jest pozbawiony znaczenia. Nowa organizacja stanowić będzie poważną większość w „Bezpartyjnym Bloku Współpracy z Rządem" dzięki ożywionej pracy organizacyjnej „Związku Naprawy Rzeczypospolitej", który posiada bardzo rozgałęzione placówki na prowincji, w samej zaś Warszawie przeszło 30 jednostek organizacyjnych. Połączony tedy z „Partją Pracy", „Związek Naprawy Rzeczypospolitej" będzie miał wpływ decydujący na kierunek polityczno-społeczny B. B. W. R., a przez to samo wpływ nie do lekceważenia na postępowanie i stanowisko rządu. Nie od rzeczy zatem będzie zapoznać się bliżej z antecedencjami „Związku Naprawy Rzeczypospolitej" oraz z jego zapatrywaniami i dążnościami. „Związek Naprawy Rzeczypospolitej" był jako jawna organizacja odpowiednikiem tajnych kadrów dawniejszej O. M. N. („Organizacji Młodzieży Narodowej"), przemianowanej później na „Młodą Polskę". Ramifikacjami jej były również „Straże Kresowe", których działalność jest znana; jest „Związek Obrony Kresów Zachodnich" oraz skrajnie lewicowy „Klub Inteligencji Mieszczańskiej" we Lwowie. Na zapatrywania polityczno-społeczne „Związku Naprawy Rzeczypospolitej" rzuca ciekawe światło sprawozdanie z posiedzenia jego Rady Naczelnej w Warszawie w dniu 19-go lipca 1927. Na posiedzeniu tem wygłosił referat członek sekretarjatu generalnego „Związku Naprawy Rzeczypospolitej", p. Stanisław Paprocki i dał w nim wyraz następującym zapatrywaniom: „Wewnętrznie komunizm nie jest jednolity, między innemi na tle stosunku do Moskwy i do antagonizmów narodowościowych. Należy rozróżniać w naszych warunkach przejawy (komunizmu) o charakterze walki na tle socjalnem od akcji dywersyjnej, prowadzonej z zewnątrz... (Ze względu na tę ostatnią) legalizacja ruchu, w zasadzie pożądana, dzisiaj jest niemożliwa". Ten referat przyjęty został do zatwierdzającej wiadomości Rady Naczelnej „Związku Naprawy Rzeczypospolitej". Takie są zapatrywania polityczno-społeczne tego nowego czynnika w B. B. W. R., który, dzięki fuzji swojej z „Partją Pracy", tworzyć będzie, jak powiedzieliśmy, znaczną większość w tym bloku i mieć będzie wskutek tego decydujący wpływ na jego kierunek, a wpływ nie do lekceważenia na stanowisko rządu".

Drugi list zawierał przewidywania w jaskrawszej jeszcze wyrażone formie:

„Sześciotygodniowy namysł wakacyjny umocnił mnie tylko w przekonaniu, oddawna zresztą zakorzenionem, że sprawa konserwatystów—ziemian z „jedynki", „Czasu", „Słowa" i „Dziennika Poznańskiego" stoi bardzo źle. Robi się jeszcze odświętne lub przynajmniej przyjemne miny do lichej gry, ale dzień katastrofy przybliża się z konjunkturalną koniecznością.

Nie tak dawne to dzieje, kiedy, po zamachu majowym, po naradach w „pałacu Krasińskich" na Krakowskiem Przedmieściu, z udziałem pp. Meysztowicza, Kazimierza i Zdzisława ks. Lubomirskich, Janusza ks. Radziwiłła, Eustachego ks. Sapiehy, ś. p. Konstantego hr. Platera i innych, emisarjusze pułkownika Sławka zwrócili się i do tej (coraz zresztą bardziej topniejącej) grupy zachowawców, której organem jest *„Pro fide"* — z propozycją zasilenia szeregów koalicji czy konspiracji belwederskiej. Odmówiliśmy temu kategorycznie, nie byliśmy w Dzikowie, nie tworzyliśmy „Unji" (lista nr. 30) ani z niej nie kandydowaliśmy, to też miano nas za zapowietrzonych, za „kiepskich warjatów", za dąsających się fronderów i jak się tam jeszcze nazywają takie potwory w gwarze konjunktury zwyżkowej na artykuły pierwszej potrzeby.

Tymczasem co robili inni? Jeden z *leaderów* — po sprawie posła Zdziechowskiego czy bodaj generała Zagórskiego — był w Sulejówku, wyraził odważnie *auf allerhöchster Stelle* krytykę w stosunku do zaszłych wypadków, poczem — jak gdyby nigdy nic, a żadnego nie otrzymał wyjaśnienia — kandydował w marcu na senatora z „jedynki". Inny wybitny przywódca ruchu ziemiańskiego pocieszał się głośno nadzieją, że w razie katastrofy tego ruchu, nie na nim główna spocznie odpowiedzialność; inny znów oświadczał publicznie, że woli płynąć z prądem, niż, wbrew prądowi, zawisnąć na latarni.

Ostatnia mowa marszałka Piłsudskiego w Wilnie nie mogła przypaść do smaku konserwatystom np. galicyjskiego typu, których cała tresura polityczna sprzeciwiała się przecież — symbolicznie—lokowaniu „Marji Teresy" czy „Żelaznej Korony" na siedzeniu, a którym poczucie hierarchiczne zabraniało niegdyś również zadawać się w sposób poufały z niższemi pod względem tytułu i charakteru c. k. rangami. Niemniej jestem przekonany, że tak, jak trawili dotąd wszystko, tak i tę pigułkę, tak w gruncie rzeczy dla siebie niesmaczną, przełkną i przetrawią. Niewątpliwie dużo im ciężej przy „starszym panu" z Belwederu, niż przy nieodżałowanym ideale Bilińskiego; pewnie — Wieniawa nie Paar, a Bartel jakżeż odmienny od Stürgkha [1]). Ale, w ostateczności, przyrodzony im *heroworship* (patrz chociażby bizantyńsko-jerychońskie artykuły „Czasu" po zeszłorocznej Genewie!) weźmie zawsze górę.

Caeterum censeo, że konserwatyzm „jedynkowy" zmierza do katastrofy, a, o ile w polityce cokolwiek przewidywać wolno, możemy być jej świadkami już w ciągu najbliższego roku. Jakżeż wówczas gorzko się zbudzi ów przywódca ziemiaństwa, który łudzi się i pociesza co do procentu własnej odpowiedzialności".

„Jeden z zacnych moich, — dodawał autor listu — chociaż dziwnie, jak na swój wiek, mało w polityce zorjentowanych kuzynów, zwierzył mi się, iż znów jeden z jego najbliższych ma zwyczaj — skoro przyjmowany jest w Belwederze— wychodzić z audjencji, pomimo że adjutanci mniej są wymagający, niż byli w *Burgu* — rakiem. Tak majestat na mnie działa! — zwykł powtarzać. Inna znów matrona kresowa, nie mogąc się doczekać, na urządzonym przez siebie raucie—*monstre*, przybycia wysokiego dygnitarza rządowego, wpięła przynajmniej w gobelin w pośrodku salonu pisemną ekskuzę zaproszonego. Za autentyczność obu tych jaskrawych faktów świadkami ręczę i nazwiskami służę". Prawdziwie o tych porozbiorowych *ci-devant* powiedzieć można, jak o porewolucyjnych, że „niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli".

II

„Marzyłem cudnie — srodze mnie zbudzono!"

Istotnie jak sen minęły dwa te lata ostatnie, sen niezawsze złoty; ja zaś osobiście zapomnieć nie mogę momentu i wrażenia, jakie na mnie uczyniło—w piękny jesienny dzień 1926 r., na tarasie jednego z pałaców warszawskich — zwierzenie, jakiem zostałem zaszczycony ze strony tak dziś srodze „zbudzonego" przez „sanację" eksministra Meysztowicza, że w niedalekim czasie nosi się on z zamiarem wstąpienia do rządu pomajowego.

Inne to doprawdy były czasy, mimo wszystko pachnące jeszcze idyllą. W obozie konserwatywnym nie było jeszcze jednego pasterza, a za to tworzyliśmy wszyscy niemal jedną owczarnię. Kołysano się w marzeniach dumą o zbliżającym się Nieświeżu; „Ziemiański" z „Dyskontowym", przy życzliwej neutralności „Handlowego", robiły na wyścigi *kingsmakerów*; każdy z przywódców ziemiańskich, którzy później stali się gwarantami kredytu moralnego B. B., mógł co rano telefonem pytać się drugiego, jak mu sen posłużył, bo członkom Klubu Myśliwskiego, z p. Jerzym Zdziechowskim na czele, nie zagrażał w błogiej tej epoce żaden jeszcze „strach nocny". I towarzysz zabaw moich dziecinnych, generał Włodzimierz Zagórski, żył wtedy jeszcze... w Polsce, nie w Brazylji.

Dziś sen konserwatystów o ileż mniej bywa spokojny! W parkach warszawskich — jak wiadomo — straszy i być może, że i do okien strwożonych przywódców ziemiańskich puka nocą widmo sponiewieranego konserwatyzmu, wołając do nich: „Cóżeście ze mną uczynili?" A i spoczynek tych, którzy przez ciężki okres pomajowy wiernymi pozostali głoszonym przez siebie zasadom, nie jest na różach: przed przewrotem łudzili się oni przeświadczeniem, że w Polsce dużo jest konserwatystów stuprocentowych, dziś zaś nie liczą nawet już i na tych 5 *pro mille*, t. j. na tych, którzy na nowo poczuli w sobie instynkty konserwatywne dopiero wskutek zapowiedzianego podwyższenia stawek w podatku majątkowym.

III

„Rozdzielił nas, mój bracie, zły los i trzyma straż". Los jest zły i gorycz niemała dla tych, którzy przez lat szereg po odzyskaniu niepodległości łudzili się, tak jak niżej podpisany, że konserwatyzm polski, wyzwolony z pętów niewoli, powróci do świetnej tradycji Popielów, Wielopolskich, Tarnowskich i Mannów. Dziś nikt z nas już chyba złudzeń takich żywić nie może: jednych, jak ś. p. Platera, wstrząs przewrotu majowego powalił w grób; z innych, którzy „marzyli cudnie", pozostała garstka zaledwie bez wpływu i posłuchu, garstka, z którą z dnia na dzień, bez wypowiedzenia, zerwali ci wszyscy, którzy zdecydowali się pójść nie na służbę idei.

A dziwny to był przymus, który ich pędził w te bezdroża, który z premis, ostrożnych zrazu, wyciągać im kazał najdalej idące konsekwencje. Wszak jeszcze na wiosnę, już po tak gorzkich rozczarowaniach wyborczych (zwłaszcza w Galicji i Poznańskiem), trafiał się poniektóry statysta, co — *stulta mens ei, non scaelerata fuit* — zalecał zakazywanie ziemiaństwu pod rygorami obywatelskiemi wszelkiego kontaktu z narodową demokracją.

„Endekiem" nie jestem, za listą nr. 24 nie agitowałem ani nie miałem zaszczytu z niej kandydować, mam więc, sądzę, prawo wyrażać się o tych sprawach z całym — by użyć świetnego wyrażenia jednego z najznakomitszych przywódców narodowych — „komfortem moralnym" spojrzenia. Związany z obozem narodowym przeszłością orjentacyjną w poglądzie na odbudowanie Polski, pisałem w okresie przedwyborczym[1]), że—ze strony obozu konserwatywno-ziemiańskiego — walkę *à outrance* z narodową demokracją uważam za „wylewanie kąpieli wraz z dzieckiem".

Taktyczne skutki, których się obawiałem w mych przewidywaniach, już się tymczasem ujawniły. B. B.— konserwatyści są w impasie, a nasi przeciwnicy społeczni — jak czytaliśmy niedawno w ich prasie — zacierają ręce, że „teraz nie będą oni mieli dokąd pójść". Cała nadzieja — dla nas, którzyśmy już niejedną wygrali i przegrali kartę — w tym zastępie młodych, którzy — da Bóg — szczęśliwsi będą i mniej skłóceni od nas starszych! Cała nadzieja, — mimo przeciwnej roboty p. p. Sławka, Koca i Świtalskiego— że z nich urośnie mężny, sprawny, ideowy hufiec — w najlepszem i najszerszem tego słowa znaczeniu — k o n s e r w a t y s t ó w n a r o d o w y c h.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

———

[1]) „Kąpiel i dziecko" („Gazeta Warszawska", luty 1928)

KONJUNKTURA PATOSU

MÓWIMY wszyscy o sposobach na ożywienie życia literackiego; ostatni, wileński zjazd literacki (1 — 4 listopada) poświęcony był temu zagadnieniu. Rezolucje zjazdu poszły w kierunku postulatów protekcjonizmu państwowego. Było to w pewnym stopniu słuszne, bo ostatecznie państwo, jako organ narodu, ma za zadanie współdziałać w opiece nad ludnością.

Jeden jednak z mówców owego zjazdu, Kazimierz Brończyk, sprzeciwiał się takiemu stawianiu spr wy, powiadał, że tylko nowy polot ducha wzniesie na nowo znaczenie społeczne piśmiennictwa. Podpisany,—wraz z kilku innymi,—wystąpił w obronie postulatów natury zewnętrznej, przychylając się do intencji referatu Goetla, i wskazując, że dziś jedną z dominujących intencyj epoki jest ruch obrony interesów zawodowych, i że literatura żadnym sposobem z ruchu tego wyłączać się nie może, boby uległa zmiażdżeniu.

Ale przecież i Brończyk miał rację. Wszelaka obrona zawodowa, wszelaki protekcjonizm państwowy, — wprawdzie rzeczy nie do pogardzenia — ale, bądź co bądź, to tylko paljatywy — i kulturalno-społeczny mir literatury zależy tylko od jej wewnętrznych wartości, od jej wewnętrznego p a t o s u. I pytanie, jaka jest współcześnie k o n j u n k t u r a p a t o s u?

Wszyscy mamy w pamięci grupę pisarską, której starsi pośród nas byli uczestnikami, a młodsi znają z jej dzieł, wartości częstokroć niepożytej, grupę, która w życie narodowe weszła z patosem, osiągnęła wpływ znaczny na umysłowość i zdobyła pozycje

artystyczne bardzo wyniosłe. Mam na myśli Młodą Polskę.

Można nie być jej zwolennikiem, polemizować z jej ideowością, mieć duże zastrzeżenia co do niektórych wpływów psychicznych, jakie wywierała; — ale przyznać trzeba, że Młoda Polska miała swoją myśl, która działała podniecająco na psychikę ogółu, działała jak ferment na twórczość.

Tylko — i tylko — nowe myśli wnoszą nowe tchnienie życia w bytowanie kulturalne.

Czem była myśl Młodej Polski? Myśl Młodej Polski, to było coś jakby w rodzaju objawienia mistycznego, przeświadczenie, że dusza ludzka jest absolutem, czyli, że uczestniczy bezpośrednio w samej istocie koszmaru Rzeczywistości. Młoda Polska, jako myśl, to było poniekąd tchnienie jakiegoś bardzo żywego, żywiołowego, entuzjastycznego panteizmu. Zatem poszła gloryfikacja duszy ludzkiej i znowu następstwem tego był styl, który był bardzo nowy, bardzo wstrząsający. Walka o prawo świadomości do kopania w najbardziej tajemniczych, niesamowitych głębinach psychiki i do wynoszenia na wierzch, na światło dzienne, do przenoszenia w dzieło, wszystkich ujrzanych tam dziwów — to dawało rozmach Młodej Polsce; a za tem poszedł i ów styl, tak wiernie idący za duszą ludzką w jej najsubtelniejszych przegibach i gestach, a stąd pełen czarodziejskiej melodji. Temu zawdzięczała Młoda Polska swoje walory formalne, swój entuzjazm i swój wpływ.

I dziś, musimy powiedzieć sobie, że wszelkie próby ożywienia życia literackiego zależą od tego, czy umysłowość twórców zorganizuje się nową myślą i czy serca ich zabiją entuzjazmem dla tej myśli.

Nowych myśli nie wymyśla się — odczytuje się je ze znaków czasu, znaków, które czuje się w sobie i które wyczuwa się w duszy zbiorowej.

Nowa myśl jest zawsze jakąś reakcją; jest bowiem wyrazem jakichś uczuć, czasowo mniej aktywnych, więc uczuć wypoczętych, świeżych, które domagają się głosu w miejsce uczuć zużytych, przemęczonych, zblakłych — (oczywiście znowu tylko na jakiś czas). Myśl Młodej Polski była reakcją na utylitaryzm, objektywizm, pozytywizm. Myśl naszego czasu była reakcją na subjektywizm i — że tak powiem — „psychizm“ Młodej Polski.

I faktycznie: Gdy przyjrzymy się literaturze generacji młodej i najmłodszej, to z pośród wielu tendencyj różnorakich, z pośród tendencyj, łączących ją z Młodą Polską, wyanalizować zdołamy jeden rys, rzeczywiście nowy i śmiały, dążność do społecznej rzeczowości. Jest to jakby nowy—(aczkolwiek w rynsztunku formalnym całkowicie odmienny)— pozytywizm. Młody poeta odczuwa częstokroć mówienie o sobie i o swych nastrojach jako pewną niemęską gadatliwość, jako pewien brak żenady, brak dyscypliny. Woli mówić o sprawach objektywnych, o życiu cywilizacyjnem, które się wokół niego tworzy. I przyznać trzeba, że jest to tendencja wcale zdrowa, że znajduje ona nieraz wyraz bardzo świeży, bardzo mocny dla spraw, które skądinąd są zgoła „niepoetyczne“.

Sformułowanie tej tendencji, pogłębienie jej estetyczno-teoretyczne, to byłaby nowa myśl, która organizując wyobraźnię twórców, dodając im bodźca uczuciowego, będąc, słowem, fermentem dzielnej twórczości — liczyć może na oddźwięk w sercach słuchaczy.

*

Ale jednak nie sądzę, aby tendencja ta, sama przez się, wystarczająca była do pełnego intensywnego ożywienia życia literackiego i wogóle artystycznego, do konjunktury patosu.

Ugorują już w nas i znowu głosu domagają się te uczucia, które jedynie—mam to przeświadczenie — zdolne są być podłożem twórczości o wielkim duchu: Uczucia religijne, ogólniej metafizycznie.

Sztuka wielka jest najbliższą krewną, rodzoną siostrą religji. Jest ona zawsze czemś z pogranicza objawień mistycznych, jak też czemś z pogranicza liturgji, obrzędu. Czyż „Hymny“ Kasprowicza nie proszą się o śpiewanie ich w świątyni, z towarzyszeniem gestu liturgicznego? Czy Słowacki, w swoich intencjach głębokich, w swojem dziele szczytnem, nie jest jakimś hierofantem, odprawiaczem jakiegoś nabożeństwa, mystagogiem, wtajemniczycielem prawd świętych?

Słowem, przekonany jestem, że dopiero idea sztuki pełna hymnu, jako misterjum, jako sakralnego obrzędu, natchnęłaby twórczość współczesną nowym patosem.

*

Poezja najmłodsza naogół, zdaje się, z ochotą spełnia swoje zadanie społeczne, zadanie organizowania wyobraźni społecznej na miarę nowych potrzeb. Jeśli poeta dziś mówi o elektyfikacji (p. Przyboś) słowem, przyznać trzeba, pięknem, jeśli inny znów powiada: „Krwawe pieczęcie własności położymy na miastach“ (E. Wojtych), rzucają oni promienie piękna na rzeczy skądinąd prozaiczne, „sublimują“ procesy gospodarcze, społeczno-polityczno-gospodarcze, i naukowo pożyteczne. Czyż jednak ponad potrzeby społeczne *sensu stricto* nie wynoszą się potrzeby bardziej immanentne ducha ludzkiego, wziętego od strony jego zetknięcia się z wszechświatem? Sztuka ma służyć i tym potrzebom.

Co więcej, zaspokojenie tejże potrzeby jest jak zawsze, ale dziś szczególnie, postulatem nawskroś aktualnym, w najściślejszem znaczeniu społecznym. Czujemy bowiem wszyscy wyraźnie, że się coś w cywilizacji załamuje, że na wierzch psychiki indywidualnej i zbiorowej coraz częściej łeb wychylają żywioły pierwotne, żywioły barbarzyństwa, o którem wielu mniemało naiwnie, że jest już w sercu ludzkości ujarzmione. Wieczyście nienasycony *appetitus materiae*— jakby powiedział filozof katolicki—coraz śmielej odzywa się i coraz groźniej. I wobec niego, coraz wyraźniej wielu z nas zdaje sobie sprawę, że—skoro „klin klinem się wybija“—na siłę żywiołu materji jest tylko jedna siła: siła żywiołu ducha. Czujemy, że tylko entuzjazm życia duchowego, ten entuzjazm, jaki jedynie żywa religijność zdoła wyrobić masowo i indywidualnie, zdoła przemóc potężny nacisk pokus zmysłowych, nihilistycznych, destruktywno-politycznych, jakie dziś czyhają na duszę człowieka. Idzie poprostu o samą cywilizację.

Sztuka jest organem cywilizacji, jako organizatorka wyobraźni. Stąd postulatem czasu, z jakim cywilizacja zwraca się do artystów, jest ten, aby starali się o wyraźne oblicze religijne, lub, ogólnie biorąc, metafizyczne.

Dopiero ten moment, w związku z poprzednim, rzeczowości społecznej, da sztuce odpowiednią do patosu tragicznego epoki, monumentalność.

Oczywiście, *ad hoc*, programowo, żadnych twórczych akcentów nie robi się. Twórczość rzetelna lęgnie się tylko w życiu samotnem twórcy. Ale przecież wspólna, zbiorowa myśl, jeśli ją podgrzewać będzie żar serca, wkońcu przeniknie gdzieś w najosobist-

sze głębie psychiki, i kiedyś, z biegiem czasu, jakoś się wyjawi ruczajem mowy, całkiem własnej. Idzie o zbiorową atmosferę — i tutaj jest zadanie bardzo ważne dla krytyka i publicysty, jako intelektualnych organizatorów atmosfery duchowej.

*

Mówiąc bardziej konkretnie, powiem: poezja i wogóle sztuka współczesna winna — nie służyć — ale przewodzić wyobraźni religijnej narodu.

Nie chciałbyć być fałszywie zrozumiany. Nie twierdzę, jakoby poetów obowiązkiem było w co drugim utworze pisać o św. Franciszku, w co drugim rządku używać takich wyrazów, jak „sakrament, Hostja, komunja, kielich" i t.p. Przeciwnie, sądzę, że tu raczej wskazana będzie większa, niż dotychczas, oszczędność; cierpimy na przerost przenośni i obrazów religijnych, odczuwany przykro nawet, a może właśnie przez wierzących. Wskazaną byłaby owa Mickiewiczowska dyscyplina, dyscyplina która zakazuje mówić o wszystkiem, czego się rzeczywiście nie przeżywa, czego się w życiu swem nie bierze na serjo. I, dalej, nawet szczerych uczuć nie trzeba przemęczać.

Ale o tem myślę, iż twórczość nabierze patosu religijnego lub metafizycznego, wraz ze zwierzeniem się duchowem twórców z tajemnic metafizyczno-religijnych: Tajemnic niedoli, zła i grzechu, tajemnic cnót, świętości i wiary w Boga. Wraz z tem odzyska pełne prawa w poezji to, co jest zawsze rzeczą dla człowieka najciekawszą: serce ludzkie.

Ale tutaj zaczynam być cokolwiek pesymistą. Mam mianowicie obawę, czy rozpęd twórczy wyobraźni religijnej artystów, zechce i zdoła wyrazić się z całą prawdą i całą szczerością?

A tymczasem „kędy chce wieje duch" i zarówno wyobraźnia artysty, jak i intelekt krytyka, dla swego należytego rozwoju, muszą mieć swobodę. „Skąd mi wiadomo — że potrzebna jest swoboda myśli" pyta francuski uczony i myśliciel J. Payot. „Stąd, że bez niej, nie mógłbym należycie pracować". Zarówno myśl, jak i wyobraźnia oceniane być muszą z punktu widzenia tego, jakich instynktów są wyrazem—pozytywnych, budujących, bohaterskich — czy defetywnych, rozkładowych, przeczących wysiłkowi ducha.

Jeśliby ta obawa moja miała okazać się płonną, to rzecby można było, iż jest współcześnie konjunktura patosu i — zarazem — konjunktura powodzenia — dla takiej mianowicie grupy pisarskiej, coby—(*nb*. posiadając prawdziwe pośród siebie talenty!...) wystąpiła z tą myślą, ażeby dać wyobraźni narodowej wizję nowego, pracowitego, prawdziwie cywilizowanego życia, któreby prześwietlone było blaskiem ducha religijnego.

*

„Duch religijny", w ujęciu najzwięźlejszem i psychologicznem znaczy tyle co:

— Zaufanie do Rzeczywistości — ściślej biorąc, wiara w wyższy, Żywy Sens, opanowującej automatyzm ciała pracy ducha.

— Zaufanie do Rzeczywistości — w jednem jeszcze znaczeniu: Wiarę w świat wyższych, okiem cielesnem niedojrzanych hierarchij istot duchowych. To ożywia zarazem stosunek do przyrody.

Więc sztuka, którаby „blaskiem ducha religijnego prześwietliła linję życia pracowitego, cywilizowanego", będzie miała cechę formalną monumentalności.

Albowiem 1° „zaufanie do rzeczywistości" skoro z pokładów intelektualnych psychiki zejdzie w jej pokłady czuciowo-ruchowe, to stanie się silnym rozpędem, energją. 2° W monumentalizmie zawsze jest rys a-naturalizmu — a ta sztuka zapragnie dać oczom i uszom — niewidziane i niesłyszane. A wreszcie (po 3°), na monumentalizację złoży się i ten, tak nowożytny rys — rys ścisłej celowości, oszczędności pracy, rys świadomego konstruktywizmu.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

TOWIANIZM WE WŁOSZECH

TOWIANIZM przeszedł w Polsce dziwne koleje. Miał żarliwych wyznawców wśród wielkich i wybitnych, miał zdecydowanych i bezwzględnych oskarżycieli, miał też swoich facecjonistów i tych wpływ okazał się najmocniejszy, oni to zdecydowali o lekceważącym stosunku ogółu polskiego do Sprawy.

Społeczeństwo nasze, nieprzyzwyczajone do żywszych ruchów religijnych, zlękło się takich nawet przejawów nowego kierunku, które towarzyszą wszelkim zjawiskom twórczości w tej sferze. Szukając w Towiańskim filozofa, literata, teologa, ośmieszano go za nieporadne nieraz formułowanie rzeczy trudnych i zawiłych, wmawiając weń ironicznie nieomylność, aby wykazać mu arcyludzkie błędy i pomyłki. Ileż zgorszenia wywołało u nas to np., że Towiański prawie nie czytał książek, że czytanie przerywały mu bardzo ważne prace psychiczne, narzucające mu się z bezwzględnością wewnętrznego nakazu. A przecież Poulain, Joly, Grandmaison, Marechal, Bremond i inni historycy ruchów religijnych, jak rzecz naturalną i prostą przyjmują ową odrębność mistyków, która nie pozwala im nieraz reagować na otaczającą ich rzeczywistość, nie daje im też wyrazić przeżyć i doświadczeń duchowych w słowach jasnych i trafiających do każdego umysłu. Bremond, podnosząc wielkie zasługi p. Acarie (*Marie d'Incarnation*), która podziw budziła w św. Franciszku, dodaje bez zdziwienia: „Czytanie było dla niej czemś równie niepodobnem, jak głośna modlitwa"[1]) ...„P. Acarie nic również nie napisała; jej książki, sądzę, gdyby je nawet stworzyła, nie dałyby nam jej obecności"[2]).

Bremond nazywa mistyków pionierami w najpiękniejszym i najcudowniejszym świecie, oni to po wielkim Świadku, który nam objawił Ojca, po apostołach i męczennikach, są świadkami przyjacielskiego współżycia Boga z ludzkością. Ale ci ludzie drogo okupują swój niezwykły przywilej. Narażeni są bowiem więcej na złudzenia i pomyłki, niż ludzie nauki. Wymownie rzecz tę przedstawia Joly w dziele swem „*Psychologie des Saints*". Ile błędów, ile iluzyj towarzyszy heroicznym wysiłkom i czynom świętych! A przecież nie one stanowią o istocie zjawiska. Kiedy św. Bernard twierdził, że wie z objawienia o mającym nastąpić końcu świata za życia jego generacji, to popełnił jeden z częstych a nie wyjątkowych błędów, którym podlegają mistycy.

To co stanowi o życiu wewnętrznem mistyka jest prawie niewyrażalne[3]) Sądowi i ocenie podlega właściwie tylko działalność mistyków. Teologowie,

[1] [2]) Henry Bremond „*Histoire Littéraire du sentiment Religieux en France*" Paris, 1924 o. II p. 229, 259.

[3]) Henry Bremond „*Prière et Poësie*" Paryż 1926 r.

czuwający nad systemem dogmatów, karcą ich częstokroć lub wręcz zwalczają: „Historja[4]), pisze Brumand, pełna jest tych pięknych pojedynków między boskim autorytetem kapłana a boskiem także nadchnieniem mistyka. Urząd żąda zawsze, by drugie ustąpiło pierwszemu".

Na tle tem nie dziwią nas wystąpienia ks. Semenenki przeciwko Towiańskiemu. Rozumiemy, dlaczego Towiański niechętnie mówił o swych przeżyciach i wizjach mistycznych, czując całą niedoskonałość ich słownego ujęcia. Nie gorszymy się też ponad miarę ludzką tem, że podlegał złudzeniem, lub że się bardzo przywiązał do swych „natchnień" religijnych, że im wierzył.

Towiański mawiał nieraz, że w dziedzinie nauki istnieje pewność, wiedza zdobyta da się ściśle określić, w sprawach wiary jej niema. Chrześcijanin w chwili gdy go opuszcza Łaska nie wie nic, nic nie posiada[5]), dlatego radził ostrożność w dochodzeniu głosu sumienia i nieraz własne sądy odwoływał.

Epoka wielkich nadziei i oczekiwań nadała misji Towiańskiego szczególny charakter. Z dorobku historycznego epoki minionej wziął on przedewszystkiem ideę napoleońską. Heroizm militarny żołnierzy Napoleona pragnął przetworzyć w heroizm religijny żołnierzy Chrystusa. Spodziewał się Towiański bliskiej przemiany świata, sprowadzonej wysiłkiem moralnym powołanych do tego jednostek i narodów. Przepowiadał wielkie zmiany w Europie. Ci z jego uczniów, którzy na tych przepowiedniach budowali przyszłość Polski, doznali zawodów i rozczarowań. Około roku 1846 towianizm zaczął uwalniać się od tendencyj politycznych o charakterze aktualnym, które dla Towiańskiego nie były nigdy rzeczą główną.

Nie zakreślał on sobie zgóry pola działania, wyjątkowo także zwracał się sam do kogoś z upomnieniem czy radą. Najczęściej odpowiadał na czyjeś wezwanie lub prośbę. Zwracali się do niego przedstawiciele różnych narodów i różnych wyznań.

Po roku 1848 stał się już osobistością znaną w sferach, spragnionych reformy życia religijnego zwłaszcza w Szwajcarji, we Francji i we Włoszech.

Wieść o „świętym Polaku" przywiózł pierwszy do Włoch w r. 1848 były rewolucjonista, członek związku *Giovine Italia*, uchodźca przed wyrokiem śmierci, wydanym nań w r. 1833, Jan Scovazzi.

W Paryżu z ust Mickiewicza dowiedział się on o Sprawie, ale dopiero w Lozannie w pierwszej rozmowie z Towiańskim doznał przemiany duchowej i rozpoczął nowe życie jako sługa Chrystusa. Jak przystało na działacza politycznego zaczął od czynów. Tylko że czyny te odtąd realizował w innej dziedzinie i w innym duchu.

Przebywając w r. 1834 w Szwajcarji w Bagnes, występował nieraz przeciw religji, bo widział w niej wówczas jedynie ostoję reakcji politycznej i despotyzmu. Postanowił to wszystko odwołać. Przybył więc pieszo do Bagnes i na placu publicznym wobec zgromadzonych mieszkańców prosił gorąco o przebaczenie mu zła, które im wyświadczył, zapowiadając nadejście ery Miłosierdzia. Wróciwszy do kraju, objął Scovazzi, jako prawnik, urząd państwowy, lecz za swe główne powołanie życiowe poczytywał odtąd prace apostolskie.

Z jego inicjatywy pojechał do Szwajcarji, w r. 1849, dr. Hjacynt Forni i wrócił stamtąd odrodzony. W dwa lata później poznał Towiańskiego w podróży po Europie zachodniej najwybitniejszy przedstawiciel włoskiego towianizmu, prof. prawa, później senator, Tankred Canonico. I on znalazł w Towiańskim to, czego szukał w swych walkach wewnętrznych, za czem tęsknił.

Wyznania pierwszych włoskich adeptów towianizmu zgodnie mówią o jednem: Towiański podbił ich dusze w imię Chrystusa nie doktryną lecz przykładem i wpływem. Dał im ducha żywej wiary i przykład praktykowania nakazów ewangelicznych miłości i ofiary.

Oto świadectwo Scovazziego: „słowa jego wzruszyły mnie i czułem je tak, jakby mi kto rozpalone węgle do serca wkładał, jego życie wewnętrzne rozbudziło moje". O prostocie, radości i mocy, bijących ze słów Towiańskiego wielokrotnie świadczył Canonico, podobnie określał swe stanowisko dr. Forni, stwierdzając, że „danem mu było zobaczyć po raz pierwszy na ziemi małą społeczność, żyjącą praktycznie prawem Chrystusa".

Zgodność odczuć i sądów wszystkich trzech przyjaciół zastanowiła, a może zaniepokoiła nieco życzliwego im ks. Barone, profesora teologji w Turynie. W roku 1852 udał się on do Szwajcarji i wrócił tak głęboko wzruszony, tak pewny wartości Sprawy, że wzmocnił opinją swą powstające we Włoszech koło braterskie; upoważnił je też do pierwszego publicznego wystąpienia 14 stycznia r. 1853 wobec ministra Dabormidy.

Sam zaś w r. 1855 złożył w arcybiskupstwie turyńskiem świadectwo o Towiańskim i jego uczniach, na których patrząc myślał, że to „starożytne zgromadzenie chrześcijan, jakiem ono było za czasów apostolskich".[6])

Wraz z pierwszemi objawami włoskiego towianizmu zaczęła się przeciw niemu ostra kampanja w prasie. Pisma „*Armonia*", „*L'Apologista*", „*La Provincia*" pierwsze zaatakowały nowy ruch religijny, przywodząc argumenty, upowszechnione przez ks. Semenenkę. Na skutek tych oskarżeń kurja arcybiskupia zarządziła badanie świadków. W listopadzie i w grudniu r. 1855 składali osobno zeznania na piśmie: Forni, Canonico, Scovazzi, Barone. Wszystkie odesłano następnie do Rzymu, ale żadna odpowiedź stamtąd nie nadeszła.

W roku 1858 dopiero nuncjusz papieski w Szwajcarji, Bovieri podjął z Towianskim urzędową rozmowę z powodu „Biesiady", oddanej na indeks, i zażądał od niego deklaracji posłuszeństwa Kościołowi. Uznał on w mistyku polskim człowieka mocnej wiary i kończąc z nim rozmowę, zapytał: „Cóż więc powiem o Was Papieżowi?" i zaraz odpowiadając samemu sobie, dodał: „Powiem Mu, że jesteście cnotliwi i pobożni, że kochacie Kościół, że jesteście jego synem, ale co powiem o punkcie głównym i jedynym: o posłuszeństwie względem Kościoła? Towiański odrzekł, iż gotów w tym kierunku podwoić jeszcze swą energję, ale posłuszeństwo przyjąć może wtedy jedynie, gdy ono nie sprzeciwi się woli Boga. Nuncjusz widząc pokorę mistyka i jego szczere pragnienie służenia przedewszystkiem Bogu a potem Jego urzędom, w imieniu papieża udzielił mu błogosławieństwa"[7])

[4]) tenże „*Histoire Littèraire du Sentiment Religieux en France*", v. II.

[5]) Pisma. Turyn. t. III Noty.

[6]) Wszystkie te świadectwa i wiele innych znajdują się w wydawnictwie włoskiem p. t. „*Testimonianze di Italiani su Andrea Towiański*". Roma 1903.

[7]) Attilio Begey. „*Delle Relazioni di S. E. Tancredi Canonico con Andrea Towiański*". Torino, 1912.

Podobnie ocenił sprawę po latach biskup Jeremjasz Bonomelli w książce p. t. *„Profili di tre personaggi italiani“*, wydanej w r. 1911 w Medjolanie. Nazwał on tu Towiańskiego „jednym z tych proroków których od czasu do czasu wzbudzał Bóg w Izraelu i występowali wśród ludu, w pałacu królewskim i w imieniu Boga wzywali do pokuty, a potem zagrzebywali się w samotności“.

W towianizmie włoskim uderza wybitny udział duchowieństwa katolickiego. Mówią o tem nazwiska braci. Najwybitniejsi z nich: ks. Barone, franciszkanin brat Ludwik z Carmagnoli, arcybiskup i kaznodzieja papieski Passavalli. Kronika Koła notuje nadto nazwiska księży Jakuba i Józefa Bernardi oraz kilku sympatyków ruchu.

Drugim rysem charakterystycznym włoskiego towianizmu była zasada równości braterskiej. O hegemonji tego czy innego brata w sensie, w jakim sprawowali urząd wodza Mickiewicz czy Różycki, nie było mowy. Wysuwali się wprawdzie na czoło ruchu kolejno Forni, Canonico, Begey, ale władza ich nigdy nie była absolutna. Nie przechodzili także bracia włoscy rozczarowań mickiewiczowskiego Koła, nie wyczekiwali bliskiej przemiany stosunków w Europie, jako owocu spełnionych obowiązków chrześcijańskich. Praca ich rozwijała się spokojnie i bez wyczerpującego napięcia.

Koło turyńskie, stanowiące zrazu zawiązek Sprawy we Włoszech, stawało się powoli ośrodkiem włoskiego ruchu a następnie całego towianizmu. Odrazu ukonstytuowało się jako grupa katolicka i z posady tej nigdy nie zeszło.

Już w pierwszej rozmowie z Towiańskim upewnił się Tankred Canonico o katolickim charakterze Sprawy. Dnia 2 października r. 1853 zanotował Forni następujące zdanie Towiańskiego: „Przedstawiając istotę katolicyzmu w tonie Jezusa Chrystusa zniesie się wszystkie inne religje, ludzie ujrzą wielkość i prawdę tego ideału“[8]).

Oświadczenia te potwierdza fakt, że wszyscy, którzy jako niekatolicy poznali Sprawę, przyjęli katolicyzm. Określiło się przez to jasno naczelne dążenie towianizmu.

Wieść o „świętym Polaku“ przedostała się z Turynu do Cuneo i w roku 1857 złożył ks. Jakób Bernardi świadectwo o Sprawie w miejscowej kurji biskupiej. Świadectwo to nadało rozgłos nowemu ruchowi i obudziło dlań zainteresowanie w klasztorze Franciszkanów wśród trzech braci zakonnych. Do grona tego przyłączył się robotnik, Mateusz Mondino. Z tych wszystkich adeptów towianizmu najgoręcej przejął się nim brat Ludwik z Carmagnoli. W imieniu wszystkich i w ich obronie stawał przed władzą duchowną, twierdząc, że i św. Franciszek w swoich czasach wydawał się także heretykiem, bo szukał nowych form życia religijnego. Brat Ludwik nie znał osobiście Towiańskiego, ale znosił się z nim listownie. Otrzymywał też od polskiego mistyka odpowiedzi (3-go kwietnia roku 1858 i później), które dały mu zupełny spokój duchowy. Zaniechał myśli o wyjeździe w celach misyjnych do Ameryki, zapragnął natomiast przedstawić Sprawę papieżowi i zyskać dla niej błogosławieństwo apostolskie.

W klasztorze i poza klasztorem brat Ludwik był kochany i ceniony niezmiernie za swą spokojną i mocną wiarę, za swą żarliwość i odwagę. Odbywał on rekolekcje z młodzieżą szkolną, budząc w niej żywy ruch religijny. Jednak wobec podejrzenia o herezję zabroniono mu zarówno rozmawiać z braćmi klasztornymi, jak też działać poza obrębem klasztoru.

Brat Ludwik zapytywany przez ks. Gwardjana i przez Biskupa, którzy sądzili Sprawę na podstawie komentarza ks. Semenenki, bronił jej z całą siłą przekonania, pragnąc jednego tylko „by nie zaprzeć się Boga z obawy przed ludźmi“[9]). Odsunięty od życia klasztornego, pozbawiony za karę pism św. Bonawentury, którego tak bardzo ukochał, poddany ciężkim rygorom, opuścił wreszcie zakon i udał się do Turynu.

Przyjęty serdecznie przez Koło miejscowe, głębiej zapoznał się ze Sprawą i ugruntował w powziętym już poprzednio zamiarze świadczenia o niej przed papieżem. Nie miał dobrych przeczuć co do wyników swej misji, ale przyjął ją jako swój obowiązek. Jego korespondencja z Rzymu świadczy o cierpieniach tego świadka Sprawy wobec ostrych, bezwzględnych pytań teologów, ćwiczonych w argumentacji i dialektyce. Niedopuszczony do audjencji umarł w r. 1859, uważany przez towiańczyków włoskich za męczennika Sprawy.

W czasie procesu w Cuneo jeden z braci zakonnych pomieszał własne przeczucia z nauką Towiańskiego i tem wywołał zgorszenie wśród duchowieństwa. Wówczas też ustalił się w wydaniu sądów niechętnych Sprawie zasób argumentów ks. Semenenki. Odtąd w artykułach i broszurach, zwróconych przeciwko towianizmowi, powtarzać się będą wciąż te same dowody, uzupełniane, jak w szkicu o Towiańskim pióra O. Horacego Premoli, cytatami z Larousse'a o tem, że Towiański poczytywał siebie za św. Piotra, a żonę swą za św. Filomenę i t. p.

Pewien odłam duchowieństwa, zwalczający we Włoszech Sprawę, widział w niej za rządów Grzegorza XVI i Piusa IX napoły herezję, za Leona XIII źródło liberalnego katolicyzmu T. Canonico, za Piusa X zarzewie i zapowiedź modernizmu. Zauważyć warto, że we Włoszech w hierarchji *„infidelium“* wyznaczono Towiańskiemu miejsce niebylejakie: ojca modernizmu. Nie odpowiada to rzeczywistości, ale dowodzi, że przeciwnicy Sprawy widzieli w mistyku polskim wybitną indywidualność.

Żaden z papieży opinji o Sprawie nie wydał i nie ogłosił. W r. 1869 T. Canonico wręczył Piusowi IX pismo Towiańskiego, wyznając: „przez pośrednictwo tego człowieka uzyskałem od Boga dobra duchowe, których nic nie wymaże. Młodość miałem bolesną; straciłem wiarę. Opatrzność zbliżyła mnie do tego człowieka. Że odzyskałem wiarę, że mam dotąd w życiu podstawę, że mam miłość Jezusa Chrystusa i jego Kościoła, radość duszy, to jemu nadewszystko zawdzięczam“. Papież otworzył pismo, odpowiedział: *„sono contento“* i pobłogosławił jego oddawcę[10]).

(Dokończ. nast.)

ZOFJA SZMYDTOWA

---

[8]) Maria Bersanda Begey, *„Vita e Pensiero di Andrea Towiański“*, Milano, 1918 p. 391.

[9]) *Fra Luigi da Carmagnola*, edit. Attilio Begey, Torino, 1910.

[10]) Attilio Begey *„Delle Relazioni di S. E. Tancredi Canonico con Andrea Towiański“* Torino, 1912.

LIBERUM VETO

Polityka jako sprawa prywatna.—Zamiar Paderewskiego uczczenia Wilsona.—Nasze tajemnice zagranicą.—Tam wszystko wiadomo.

Uprzejmość, szlachetność, wdzęczność — są to uczucia przydatne nie tylko do użytku wewnętrznego, mają bowiem swoje znaczenie w zewnętrznych stosunkach narodu, stanowią ważne pierwiastki jego kultury. Poza zdemoralizowaną i bezmyślną sektą polityczno-społeczną, wyznającą tylko dwa artykuły wiary — bałwochwalstwo w swojej gromadzie i chamstwo poza nią, wszyscy wiedzą, komu zawdzięczamy wskrzeszenie naszego państwa i szczerą życzliwość dla naszego narodu. Dziesiątą rocznicę niepodległości uczciliśmy częścią prostacko — „miarodajnie" zapomniawszy o jej twórcach zagranicznych, częścią wdzięcznie i uprzejmie, złożywszy im hołd z odległości może nie tak uroczysty, jak tego byli godni, ale w każdym razie pamiętający o ich zasłudze. Przypuszczam, że to nasze podwójne zachowanie się wywołało zagranicą złośliwy uśmiech śród naszych wrogów, a przykry odruch śród przyjaciół. Na szczęście — i zarazem nieszczęście — iż ostatni wiedzą, że obecnie Polska przez swe organy „miarodajne" nie wyraża uczuć, nastrojów i opinji narodu, że w swej polityce nie używa języka ogółu, lecz gwar, narzeczy i szwargotów partyjnych, a nawet osobistych, że to, co w jej imieniu się mówi lub przemilcza, jest tylko djalektem jakiejś grupy lub jednostki. Jeżeli ktoś opatrzony władzą lub wpływem lubi L. George'a i Stresemanna, a nie lubi Focha i Poincarègo, to chociażby tysiąc razy udowodniono, że państwo polskie Fochowi i Poincarèmu zawdzięcza swoje istnienie, on uparcie będzie im okazywał dąsy „w imieniu Polski". Przebijanie monety prywatnej na państwową i państwowej na prywatną, które u nas zaczęło się przed kilkuset laty, trwa dotąd. Jeżeli polityk czynny i władny ma odrazę do Rosji, będzie ciągle zbrojnym frontem zwracał się przeciwko niej, chociażby ona nam niczem nie groziła, a natomiast Niemcy przygotowywały oczywistą zagładę. Bo u nas polityka urzędowa jest oddawna sprawą prywatną, o czem doskonale wiedzą co najmniej od dwustu lat zarówno ci, którzy zawierają z nami przymierza, jak ci, którzy jawnie i skrycie kują na nas pioruny. Ale o tej wiedzy niżej.

Paderewski jest nie tylko gorącym, niewystudzonym przez żadne inne uczucia patrjotą, ale obserwatorem obejmującym rozległy widnokrąg spraw międzynarodowych z wysokiego stanowiska. To nie zaściankowiec, określający granice świata końcem swego nosa, nie partyjnik zamykający ojczyznę w obrębie swej ideowej plantacji, nie sekciarz, nie przywódca bandy, nadewszystko zaś nie samolub, stawiający po jednej stronie siebie a po drugiej odjętą z niego resztę sumy ludzkiej—to jest polak pełnowymiarowy, człowiek z całkowitą gamą szlachetnych tonów w swej duszy, wspaniałomyślny ofiarnik. Zarówno swoją sławę artystyczną, jak swoje ogromne dochody zużywa nie na pławienie się w osobistym zbytku, ale na obronę i chwałę Polski, na hojne dla niej dary i na rozprowadzanie ofiar krytemi kanałami dobroczynności, o których ogół wcale nie wie i które tylko przypadek odsłania. Otóż Paderewski, krążąc jak świetna kometa między planetami europejsko-amerykańskiej kultury, może łatwo dostrzegać braki, potrzeby i obowiązki swojej ojczyzny, otoczonej zbyt gęstą atmosferą partyjnictwa, polityczno-społecznego sekciarstwa i wyziewami egoizmu. Znając i oceniając zbliska szlachetną błyskawicę myśli Wilsona, który pierwszy wprowadził do powojennych obrad mocarstw zwycięskich żądanie wskrzeszenia państwa polskiego i którego ta wielka, wiekopomna, niedostatecznie przez nas wdzięcznością odpłacona zasługa, coraz bardziej jest zaćmiewana dymem samochwalczych i bałwochwalczych kadzideł fałszerzów rzeczywistości i historji, postanowił wznieść pomnik czcigodnemu prezydentowi amerykańskiemu na ziemi polskiej — w Poznaniu. Dotąd wiemy o tym zamiarze tyle jedynie, ile doniosła pogłoska dziennikarska, ale ona tak odpowiada charakterowi Paderewskiego i jest tak pięknym wyrazem wdzięczności naszego narodu dla swego przyjaciela i obrońcy, że wydaje nam się prawdopodobną. Tem chętniej wierzymy jej, że gładzi ona nasz grzech przemilczenia lub niedostatecznego uwydatnienia zasługi Wilsona w obchodzie dziesięciolecia niepodległości Polski, zawrzeszczanym krzykami ochrypłych wyjców służalczej bachanady.

Straż i dyrektorzy centralnego więzienia tajemnic urzędowych, łudzą się, że one zamknięte mocnemi drzwiami i kratami nie wydostają się nazewnątrz a nadewszystko, że nie rozbiegają się po dalekim świecie. Już to niepoprawna i nieaktualna naiwność wszystkich systemów rządzenia policyjno-wojskowego, pomimo swej przebiegłości naśladująca ptaki, które wetknąwszy głowy w śnieg, są przekonane, że ich nikt nie widzi. Gdy przed kilkunastu laty nieznany mi towarzysz podróży, polak amerykański, wspólnik domu bankowego w New Yorku, który przyjechał odwiedzić swoją rodzinę w Lipnowskiem, zapewnił mnie, że w Stanach Zjednoczonych urzędy skarbowo-informacyjne mają dokładnie obliczoną wartość pieniężną każdej większej firmy przemysłowo-handlowej, każdego większego obywatela w Polsce, uważałem to za przesadę w stylu yankesowskim. Dziś z wielu dowodów przekonywam się, że my ufając przestrodze, zakazującej „prać brudną bieliznę poza domem" i pokrywając swoje wady i winy milczeniem lub kłamstwem, nawet nie domyślamy się, jak dobrze zagranica zna je w najdrobniejszych szczegółach, tylko tai z powodów taktycznych. Odwiedził mnie dawny mój współpracownik, który obecnie jest reporterem politycznym i „wywiadowcą" obsługującym kilka wielkich dzienników w Paryżu. Dał on mi kilka ciekawych informacyj.

— Tu ludziom nawet bardzo domyślnym i obznajmionym ze stosunkami międzynarodowemi — mówi on — zdaje się, że zagranica wie tylko tyle, ile jej doniesie prasa polska, a ten przesąd stwierdza się pozornie dowodami jej rzeczywistej nieznajomości naszego kraju i życia, okazanej nawet przez pierwszorzędnych polityków obcych, którzy z obowiązku nie powinniby grzeszyć tą niewiedzą. Gdy Lloydowi Georgowi pomiesza się w głowie Galicja z Galileją i Cylicją, przypuszczamy, że on jest równie mądry— a wraz z nim cała prasa angielska — w innych sprawach dotyczących Polski. Tymczasem jesteśmy na Zachodzie tak dokładnie znani „jak złe szelągi". Redakcje dzienników francuskich i angielskich posiadają drobiazgowe encyklopedje i bogate archiwa doniesień z Polski, a jeżeli ich nie ujawniają, to tylko z powodów politycznych, które w nich zawsze przeważają nad zaspokojeniem ciekawości. Tam można prywatnie dowiedzieć się o wszystkich wypadkach naszego życia, pokrytych u nas tajemnicą, tam ze wszystkiemi szczegółami znana jest historja zniknięcia gen. Zagórskiego, historja napadów na Zdziechowskiego i Nowaczyńskiego, tam w tej chwili z pewnością mają wyrobiony pogląd na to, kto zabił żandarma przy Belwederze. Niema zamka, niema dyskrecji, niema zakazu i groźby, niema

środka zapobiegawczego, którzyby się oparł zmyślności wywiadowcy dziennikarskiego. Jeżeli on umie wykraść tajemnicę poufnej rozmowy trzech dyplomatów w szczelnie zamkniętym i pilnie strzeżonym pokoju, to jakąż nikłą trudność przedstawia dla niego wykrycie prawdy jakiegoś tajemniczego wypadku w Warszawie, który oświetlają informacjami goście w każdej kawiarni? — Tak jest. Dla nas jednak ważny jest nie sam spryt reporterji, nawet nie sama treść zdobytych przez nią wiadomości, ale fakt, że łudzimy się grubością i nieprzenikliwością ścian naszego domu, które dla zagranicy są cienkie i przejrzyste, że ona dokładnie wie, co się u nas dzieje, że zna nasze bezprawia, bezład, zamęt, rozstrój, słabość, że na tem nasi wrogowie opierają plany swoich złych zamiarów a nasi sprzymierzeńcy i przyjaciele nie chcą opierać budowy trwałego związku. To powinno być dla nas daleko poważniejszą troską, bo grozi większem niebezpieczeństwem, niż błazeńskie popisy Waldemarasa lub gra w lisa z Niemcami o traktat handlowy.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

NA FALI SOCJALIZMU

KIEDY na uroczystość dziesięciolecia niepodległości dyrektor banku generał Górecki pośpiesznie formował Federację Wojskową, we Lwowie, w Zespole Stu ogłoszono program, że przyszłość Polski zbliża się ku nam na dwu nogach: Federacji wojskowej i Federacji pracy. Ta ostatnia ma zadanie „organizowania mas w zrzeszeniach, mających na celu rzeczową obronę postulatów pracy". Parlamentu nie trzeba, wszystko rozwiąże syndykalizm, wsparty siłą Federacji wojskowej, a będący swoistą formą faszyzmu polskiego. Z artykułu p. K. Zakrzewskiego w „Słowie Polskiem" (z 14.XII) dowiadujemy się, że syndykalizm znajduje w kraju grunt podatny, a najwyższą formę organizacyjną zyskał w instytucji „Generalnej Federacji Pracy". Czy dlatego tak się ona nazywa, że na jej czele stanął znowu jaki generał, niewiadomo.

„Federacja odgrywa pierwszorzędną rolę w procesie stworzenia podstaw psychicznych nowego ustroju moralnego i społecznego, którego wyrazem w Polsce jest likwidacja dawnych sił partyjnych. I nie tylko jako czynnik negatywny! Federacja organizuje we wspólnych szeregach pracowników umysłowych i robotników, zatrudnionych w tej samej gałęzi wytwórczości. To jest nowość w życiu zawodowem polskiem, nowość niezwykle pożyteczna".

Będzie to pewien typ „nacjonalizacji" wytwórczości z poddaniem jej pod kontrolę pracowników.

„Federacja pracy, jako organizacja, wyrosła z ducha rewolucji majowej, uznaje prymat Państwa w życiu zbiorowem, jako siły nadrzędnej nad klasami i grupami. Interes Państwa jest dogmatem: wiara zaś w zgodność tego interesu z interesami szerokich mas społecznych ożywia te masy, które skupiają się pod skrzydłami Generalnej Federacji Pracy. Podsycajmy tę wiarę, bo w tym wysiłku jest przyszłość Polski".

Tak pisze „Słowo Polskie". Ale Federacja pracy ma swój własny organ „Solidarność pracy". Pismo to w nr. 1 świetną przyszłość gospodarczą Polski upatruje w tem, że państwo przejmować będzie potrochu przedsiębiorstwa „z nieudolnych rąk inicjatywy prywatnej". Etatyzm gospodarczy jest zadaniem rządów. Praca ma się stać funkcją społeczną pod opieką państwa, które nie tylko podniesie płacę zarobkową w swoich zakładach, ale zmusi do tego kapitalistów prywatnych. Stąd konsekwencja, że państwo „w razie oporu pracobiorców przychodzić będzie z pomocą materjalną strajkującym w czasie trwania strajku. Wreszcie państwo wpływać może na wysokość płac przez swą politykę kredytową". Tu już Federacja liczy widocznie na stosunki swoje z Bankiem Gosp. Krajowego.

Jeżeli się zważy etatystyczne zakusy BB. i propagandę podobnych haseł w „Głosie Prawdy", a z drugiej strony niemożność wydobycia na jaw programu polityki gospodarczej sanacji na terenie parlamentarnym, to widzimy, że zaskakują nas fakty, dokonywane przez agitację poufną, które nam wyjaśniają, że „walka" z lewicą radykalną obozu sanacyjnego jest bardzo dwuznaczna. Słusznie tedy interesowany bezpośrednio w tych sprawach „Głos Pracy Polskiej" (nr. 51), komentując powyższy program Federacji, pisze:

„Wprawdzie wprowadzenie bezwzględnego etatyzmu nie jest rzeczą nową, bo upaństwowienia całego życia gospodarczego byliśmy świadkami w Rosji Sowieckiej. Również nie jest nowym pomysł wprowadzenia po fabrykach kontroli nad produkcją (sowiety raboczich deputatów?) w postaci robotniczych komitetów fabrycznych, któreby miały brać udział w organizowaniu pracy i kontroli nad dochodowością. Te wszystkie pomysły znamy. Natomiast bezspornie nowym pomysłem „Federacji" jest pomysł organizowania i wspierania strajków przez państwo.

W każdym razie, jeśli kierownicy Federacji wierzą sami w to, co głoszą, to trzeba ich zwalczać, bo głoszą nieświadomie wiarę niebezpieczną i fałszywą. Jeżeli zaś sami nie wierzą w swe hasła, to są zwykłymi demoralizatorami mas i szkodzą interesom narodu, państwa i również interesom mas robotniczych".

Wychodzi wreszcie na jaw robota, o której z pod ziemi dochodziły wieści, jako o przygotowaniach „komunizmu narodowego". Pytanie teraz: gdzie się to zaczyna i dokąd sięga? Jest w tem jakieś szaleństwo przy pozorach metody. Nie wierzymy w dobrą wiarę tej roboty — niepodobna przypuścić tak wielkiego braku klepek w głowach, żeby — bez knowania przewrotu — doradzać z dobrą wiarą państwu prowadzenie walki z wytwórczością prywatną przez obracanie sum podatkowych z niej ściągniętych na opłacanie strajków. I to wtedy, kiedy pracownikom państwowym niema z czego powiększyć płacy na niezbędne potrzeby. A przecież państwo musi najpierw pomyśleć o własnem gospodarstwie i starać się na ten cel przez Sejm o podatki. Przez skasowanie parlamentu istoty rzeczy się nie zmieni. Pozostaje tylko socjalizacja powszechna, bolszewicka.

WOBEC FILMOWANYCH LEGEND

W KINEMATOGRAFACH warszawskich wyświetlany jest film propagandowy p. t. „W lasach polskich", o którym ogłoszenia w dziennikach polskich z zastanawiającą skromnością donoszą jako o „rewelacyjnym filmie polskiej produkcji". W ogłoszeniach pominięto ważny szczegół, iż historyczna powieść pod tymże tytułem p. J. Opatoszu, która posłużyła za temat owemu filmowi, napisana została w żargonie (*yiddish*), przeoczono kwestję narodowości reżysera, p. J. Turkowa, zapomniano dyskretnie wymienić aktorów, jak: S. Kurlendera, E. Gutermana, S. Priasmenta, A. Rotmana, K. Segałowiczową, H. Oppenheimówną, Dianę (!), Blumfeld i t. d.*)—których nazwiska ogłosił jedynie żydowski dziennik „Nasz Przegląd".

Zdaniem wymienionego dziennika żydowskiego film „W lasach polskich" jest „pożyteczny pod względem moralnym" (dla kogo?) i „o dużym pierwiastku patrjotycznym" (polskim czy żydowskim?). Ogłoszenia w dziennikach powiadamiają ponadto, iż „w wizji retrospektywnej ukaże się opowieść o pułkowniku

---

*) Z pośród wszystkich tych nazwisk pisma polskie wymieniły — rzecz dziwna — tylko jedno — Jerzy Leszczyński. „Express poranny", podał nawet przy tej okazji fotografję popularnego aktora.

Berku Joselewiczu oraz porywająca serca legenda o śmierci królowej Wandy".

Okazuje się więc, iż w filmie obok dziejów głównych bohaterów, jak: Mordche, Rachela, Sara, Ryfkełe i t. d. wplecione są „w wizji retrospektywnej" dwie patrjotyczne legendy: o królewnej Wandzie i o Berku. Pomijając narazie legendę o Wandzie, jako starszą i ze światem Mordchi i Ryfkełe raczej luźnie związaną, warto natomiast — korzystając z nadarzającej się sposobności — przytoczyć głosy dwóch wybitnych specjalistów w zakresie historji Polski, prof. uniw. poznańskiego, dr. Adama Skałkowskiego, oraz prof. uniw. Jagiellońskiego, dr. Wacława Sobieskiego o legendzie Berka.

Prof. Adam Skałkowski pisze:

„W cieniu tradycji... wyrosła także legenda o znacznym udziale żydów w walkach roku 1794. Jej pniem jest wiadomość o formującym się pułku starozakonnym, podana przez Gazetę Rządową (Nr. 78)... tudzież w dwa tygodnie później ogłoszona w tej sprawie odezwa Berka Josielowicza. Nieliczne wzmianki kronikarskie to skąpe gałęzie. Natomiast pełno przeróżnych ozdób i świecidełek, zawieszonych później niby na choince ręką miłującą. Boć sadzono to drzewko w pierwsze święto bratania się narodu polskiego z izraelskim. W każde następne święto w nowe przywdziewano je cacka. Zawsze jednak brak mu korzeni i lada podmuch silniejszy strąca zeschłe igliwie"[1])

Rozpatrzywszy następnie szczegółowo skromne wyniki prób tworzenia oddziałku żydowskiego, którego zadaniem miała być przedewszystkiem służba w dziedzinie wywiadu i zaopatrzenia, prof. Skałkowski dochodzi do wniosku ostatecznego, iż

„... w głównej kwaterze (Kościuszki, przyp.) nie liczono na istotną pomoc orężną z tej strony. Dn. 5 października wypłacono Berkowi na koszta jego formacji 3000 złp., ale w biletach skarbowych bardzo małej wartości. Ochotników pewnie miał niewielu, a i ci rozbiegli się na odgłos maciejowickiego gromu. Przez to proste zestawienie dat wykazał już Korzon, że rzecz nie wzięła skutku. Podkreślić tylko wypada, że w samem założeniu była jedynie demonstrancją, pociągnięciem raczej dyplomatycznem, niźli akcją wojskową. W okopach Pragi nie walczył Berek Josielowicz ze swoim pułkiem. Popłynęła tam obficie krew żydowska, ale bezbronnych ofiar"[2]).

Prof. Wacław Sobieski mówi krótko:

„Berek Joselewicz otrzymał wprawdzie 3000 złotych, aby wystawić pułk żydowski, ale tego nie dokonał. Przytem wszyscy żydzi (szczególnie za Bugiem mieszkający) stanęli raczej po stronie Rosji"[3])

Ponadto zaś prof. Sobieski podaje mało znaną, a interesującą informację. Oto w r. 1797, gdy Napoleon toczył wojnę z Austrją, a po jego stronie walczyły Legjony polskie, organizowane przez Dąbrowskiego, w Austrji zrodziły się pomysły przeciwstawienia im formacyj złożonych wyłącznie z... Galicjan.

„Zjawił się tu i Berek Joselewicz, niedawny pułkownik Kościuszkowski, zamyślając jako „*K. K. Oberst*" zebrać na rzecz Austrji korpus 8000 żydów"[4])

Austrja oferty nie przyjęła. IGN.

POWRÓT KRÓLÓW

Ci z pośród nas, którzy wchodzili w wiek męski przed trzydziestu i więcej laty, pamiętają jak powszechnem było wówczas mniemanie, że ustrój monarchiczny jest anachronizmem, że siłą konieczności wszystkie państwa idą ku ustrojowi republikańskiemu, że monarchowie którzy jeszcze w Europie pozostali, należą do ostatnich przedstawicieli władzy królewskiej. Był wtedy jeszcze w wielu sercach entuzjazm republikański. Pojęcie republiki łączyło się z pojęciami o wolności, równości i braterstwie.

Wielka wojna, zdawało się, wytworzyła warunki, które przyśpieszyły ewolucję państw europejskich w kierunku republikańskim. Wszak byliśmy świadkami tego, jak runęły trzy trony cesarskie, a na ich gruzach nowe zupełnie powstały ustroje. Żadne zaś z państw, które odrodzenie swoje zawdzięczają wojnie i zwycięstwu sprzymierzonych, nie obrało sobie ustroju monarchicznego.

Natomiast w ciągu dziesięciolecia powojennego daje się zauważyć w życiu państw europejskich szereg przemian, które dowodzą, że rozwój stosunków nie idzie już po tej samej linji, jak w wieku XIX-ym. Wojna nawet w państwach zwycięskich wywołała wielkie trudności wewnętrzne, naskutek przesileń politycznych, społecznych i gospodarczych. I oto widzieliśmy, jak narody w poszukiwaniu silnej, trwałej i konsekwentnej władzy zaczęły się odwracać od parlamentaryzmu i szukać oparcia dla władzy w instytucji monarchicznej. Przewrót wewnętrzny we Włoszech został przeprowadzony przez zorganizowane grupy młodzieży—przeważnie kombatantów wielkiej wojny; w Hiszpanji oparli się sprawcy przewrotu o wojsko. Kto wszakże zapoznał się bliżej z przebiegiem rewolucji w tych krajach i z rozwojem stosunków po przewrocie, ten wie, że zarówno we Włoszech jak w Hiszpanji dyktatura wybitnych jednostek trwa i gruntuje się dzięki temu, że w państwach tych istnieją dynastje, reprezentujące tradycję władzy i stały czynnik w życiu narodu. Zarówno Mussolini jak Primo de Rivera opierają się o władzę królewską, a przez nią o naród. Dyktatury, związane z życiem jednej wybitnej jednostki są przemijające, nie można, jak pokazuje doświadczenie dziejowe, zamienić dyktatury w instytucję stałą. Okresy władzy dyktatorskiej wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wzmocnią powagę i znaczenie dynastji i przyczynią się do renesansu władzy monarszej.

Widzieliśmy już w Belgji, jak dla sanacji finansów parlament zrzekł się części swej władzy na rzecz króla. Widzimy teraz jak w Królestwie Serbów, Chorwatów i Słoweńców trudności wynikające z braku spójności wewnętrznej między trzema szczepami ludu jugosłowiańskiego doprowadziły do złożenia władzy całkowitej, wykonawczej i ustawodawczej w ręce królewskie. Przewrót dokonany w Królestwie Serbów, Chorwatów i Słoweńców w dn. 6 stycznia r. b. idzie po tej samej linji, co przewroty we Włoszech i w Hiszpanji.

Nie sądzimy oczywiście, aby oddanie całkowitej władzy w ręce królewskie miało jakiś magiczny wpływ na rozwój dalszy stosunków. Sądzimy tylko, że jest to urządzenie, które w trudnej dla narodu chwili ułatwia przeprowadzenie gruntownych, a naruszających różne nabyte prawa i przywileje reform. Wyda to dobre dla narodu rezultatu, jeśli król i jego doradcy potrafią istotnie przeprowadzić reformy, które uregulują współżycie Serbów, Chorwatów i Słoweńców.

Trudności, z jakiemi ma do czynienia Jugosławja wynikają stąd, że poszczególne jej części bywały w ciągu wieków w różnych warunkach, że historja wycisnęła na nich swoje piętno, że dla utrzymania jedności państwowej nie wystarcza siła mechaniczna, że trzeba znaleść takie formy ustrojowe, które szanując przeszłość i odrębności, pozwolą jednak na harmonijną współpracę w jedności.

Jeśli król Aleksander oprócz decyzji i silnej woli posiada plan i program polityki wewnętrznej, to będzie mógł dokonać dzieła, które będzie miało znaczenie rozstrzygające nietylko dla stosunków wewnętrznych w Jugosławji, lecz także dla utrwalenia pokoju i nowego powojennego układu terytorjalnego w Europie.

[1]) Adam Skałkowski: „Z dziejów insurekcji 1794 r." Warszawa. Gebethner i Wolff. 1926 str. 29.

[2]) *ibid* str. 34.

[3]) Wacław Sobieski: „Dzieje Polski" t. II r. 1924 str. 68.

[4]) *ibid* str. 73.

Wszystko wskazuje na to, że król Aleksander uciekł się do środków rewolucyjnych w ostateczności, gdy się pokazało, że nie pozostaje nic innego do zrobienia, że jest to sposób jedyny uchronienia Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców od rozpadnięcia się. Król wystąpił w tym wypadku jako przedstawiciel wiecznych interesów narodu, ważniejszych, niż przemijające walki i konflikty ludzi jednego pokolenia. Spełnił swój obowiązek i wziął na siebie jawnie całkowitą odpowiedzialność. Będzie mógł doprowadzić dzieło swoje do końca, jeśli ma jasną świadomość, czego należy chcieć i do czego dążyć, jeśli ma plan i program.

S. K.

WYCHOWANIE NARODOWE

PAN GOMUŁA I PACYFIZM

PROPAGANDA masońska uderza teraz falą szczególnie gwałtowną o szkolnictwo, a jednym z jej objawów jest agitacja pacyfistyczna, przybierająca niekiedy postać zupełnie karykaturalną. Zwłaszcza organy Związku Nauczycielstwa Szkół Powszechnych propagują niezmordowanie idee pacyfistyczne, jako rzekomo *„le dernier cri“* w dziedzinie pedagogiki. Objawami tej szkodliwej roboty zajmiemy się jeszcze nieraz. Dziś chcemy zwrócić uwagę na pomysły pacyfistyczne niejakiego p. St. Gomuły, który propaguje je w „Życiu Szkolnem“, włocławskim miesięczniku Związku P. N. S. P., w artykule p. t. „Pacyfizm w nauczaniu historji.“ (Nr. 10—11. z r. 1928).

P. Gomuła ubolewa nad trudnościami, na jakie napotyka praca pacyfistów w szkole, martwi się też nieszczerością rzekomych pacyfistów. Wytwarza się taka sytuacja, że na zewnątrz wszędzie głosi się idee pacyfistyczne, a pocichu, u siebie w domu hołduje się zasadzie: *„si vis pacem, para belleum“*.

P. Gomuła spodziewa się jednak zmiany po nowoczesnych metodach wychowawczych. Tak n. p. „w Belgji poddano rewizji podręczniki szkolne i usunięto z nich wszystkie, budzące nienawiść do Niemców wzmianki, ażeby w ten sposób wychowywać młode pokolenie w duchu pokojowym“. Jakoby też w ostatnich czasach „w Szwecji poddano rewizji podręczniki szkolne wszystkich państw europejskich, chcąc w ten sposób sprawdzić, w którem z państw panują najbardziej pokojowe tendencje“... „Podobno Polska (na podstawie tej rewizji), należy do państw najbardziej pokojowo usposobionych“. Co za szczęście!

P. Gomuła jest bezsprzecznie patrjotą, ale jest tak przejęty duchem pacyfistycznym, że płonie żądzą pokazania kolegom nauczycielom, czego mają uczyć z historji Polski, żeby wydobyć z niej tego ducha pacyfistycznego, który historję Polski jakoby w istocie przenika. To jest główny cel artykułu i to jest zarazem jego punktem najkorzystniejszym. Bo oto jakie n. p. momenty z dziejów Polski zaleca autor do propagowania w szkole. Zdawałoby się — powiada, że państwo polskie (w epoce Piastów) ożywione będzie „duchem zaborczości i militaryzmu“. „Widzimy tymczasem zjawisko wprost przeciwne. Nawet potężny i wojowniczy Bolesław Chrobry jest więcej organizatorem i gospodarzem państwa, aniżeli wojownikiem ma miarę ówczesnych władców Europy“ (misja św. Wojciecha).

„Olbrzymie państwo Chrobrego, opierające się na słupach, tkwiących w Odrze i Dnieprze, sięgające od morza do morza — pod koniec epoki piastowskiej za Kazimierza Wielkiego cofa swe granice na wschodzie, zachodzie, północy i południu“. (Coś to niebardzo dokładne, ale zato jakże podniosły przykład dla polskiej młodzieży!)

A oto pacyfistyczna interpretacja testamentu Bolesława Krzywoustego.

„Kiedy znów naśladowca Chrobrego, Bolesław Krzywousty napatrzywszy się na straszny obraz wojen, kładzie się na łoże śmiertelne, to dzieli swe państwo na cztery części i rozdaje je synom, aby ich w ten sposób uchronić od barbarzyńskiej walki“.

„Epoka Jagiellonów... to dalszy ciąg pacyfikacji świata prowadzonej przez nasz naród. Szlachta wyraźnie zastrzega sobie w prawach, że obowiązana jest tylko do walki wewnątrz państwa, a więc w wojnie odpornej a nie zaczepnej“.

Oto urok pacyfizmu, jaki p. Gomuła potrafił odkryć w najczarniejszych kartach dziejów Polski! Oto prawdziwe przewartościowanie wartości! Oto wzór do naśladowania dla młodzieży pacyfistycznej, która, ożywiona szczytną interpetacją dziejów, wpojoną jej przez p. Gomułę, po latach, wyrósłszy na posłów, takie samo *veto* przeciw wojnie extraterytorjalnej zakładać będzie w przyszłym sejmie Rzeczypospolitej.

Trudno wyraźniej było okazać cel, ku któremu zdążają zalecone przez p. Gomułę środki pacyfistyczne: poprawa podręczników, „zakładanie kół młodzieży pacyfistycznej — organizowanie T-wa Przyjaciół Ligi Narodów, propaganda pacyfizmu na zebraniach rodzicielskich“...

Może szkoda, że zajęliśmy się tak obszernie artykułem p. Gomuły, który przez swą naiwną interpretację historji, jak i przez sposoby, jakiemi zamierza rozbroić nasze społeczeństwo, jest zaiste — rozbrajający. Jednakże *et unum exemplum docet*: p. Gomuła jest tylko nieco naiwną ofiarą propagandy, drążącej spójność i siłę odporną naszego społeczeństwa drogą poprzez Związek Nauczycielski, szkołę i duszę młodzieży...

OUTSIDER

*

Wśród młodzieży szkół średnich warszawskich kolportowano w ostatnich czasach odezwę, pochodzącą najwidoczniej z kół komunistyczno-żydowskich. Odezwa protestowała przeciwko podwyżce tak zw. biletów ulgowych w tramwajach: „Reformę przeprowadzono dla nasycenia zachłannych apetytów Dyrekcji Tramwajów Miejskich, zagarniających rocznie miljonowe sumy, zbierane zdzierstwem na tramwajarzach z jednej strony i pasażerach — z drugiej“. Odezwa nawoływała młodzież do „wysunięcia własnych postulatów“, wybierania komitetów szkolnych i wyłonienia delegacyj na „międzyszkolną konferencję“.

Kiedy ze strony prasy narodowej napiętrowano odezwę jako przejrzystą robotę dla zorganizowania pod byle jakim pretekstem band komunistycznych wśród młodzieży, prasa socjalistyczna usiłowała całą rzecz w żart obrócić.

A jednakże konferencja międzyszkolna młodzieży, o ile wiemy, odbyła się w tej sprawie, a do Rady Miejskiej w wyniku jej wpłynął memorjał, podpisany przez jakiegoś delegata. Odnośna komisja Rady uchwaliła nie zajmować się tym memorjałem. Słusznie! Ale my go tu zanotujemy!

*

„Głos Prawdy“ pomieścił ostatnio szereg sensacyjnych artykułów, piętnujących skandaliczne jakoby stosunki w szkolnictwie na Pomorzu. Artykuły te nie wywołały żywszego echa w prasie. Nikt się nie wzrusza, każdy wie co to znaczy: sanatorzy pomorscy poszukują lepszych posad...

*

W jednem z kuratorjów szkolnych, opanowanych szczególnie dokładnie przez sanację, dokonano w ostatnich czasach szeregu mianowań na wyższe stanowiska. Mianowania te w sposób zupełnie widoczny pominęły nauczycieli, grupujących się w Tow. Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, a objęły wyłącznie członków lewicowego Zw. Zawodowego Nauczycieli Szkół Średnich. Do T. N. S. W. należy w tamtejszym okręgu ok. 80% nauczycieli Polaków, do Związku może 5%. Wybrani na te stanowiska nie odznaczają się niczem poza wiernością dla sanacji i nienawiścią do endeków. Miała to być wskazówka dla „poszukających posady“...

NAUKA I LITERATURA

„PAŃSTEWKO“

Gdyby ten utwór przetłumaczyć na jakikolwiek język, żaden cudzoziemiec nie zrozumiałby go wcale. I czytelnik polski rozumie go niezupełnie, o ile nie zna postaci, stosunków a nadewszystko słownika bohaterów tej powieści. Są to przed wojną gimnaziści zorganizowani w tajemnych związkach oświatowych i partyjnych, które autor nazwał ogólnie „państewkiem“. Są to jakieś „Abissynje“ i „Europy“, złożone z uczniów szkół średnich i wyższych, współzawodniczące z sobą w wyborach, kierowane przez „prezesów“, podzielone na „sekcje“, których członkowie splatają odczyty wśród ludu z umizgami do panien w salonach. „Państewko“ istniało na obecnych kresach Polski bez wyraźnie zaznaczonego terytorjum i bez określonej działalności. Wszelkie wskazówki giną w zamęcie żartobliwych napomknień i humorystycznych obrazków. Autor stylem rozrywanym, gwarą uczniowską, w znacznej części zagadkową, nieznającą potrzeby objaśnienia, kto to są „kompście“ i tym podobne zalążki przyszłych uczestników ostatniej wojny, opisuje ich krzątaninę na intencję celów społecznych, krzątaninę zagadkową, w oświetleniu powieści śmieszną, dziecinną. W tym wirze humoreski znamiennych rysów jej postaci dostrzec niepodobna.

Wybuchła wojna, która porwała w swój wzburzony potok również członków „państewka“. Ale i tu nie można ich zrozumieć. Widzimy tylko wysuwające się i niknące ich imiona i nazwiska, oderwane od ludzi wyraźnie nieoznaczonych. Przelatuje przed czytelnikiem skotłowany tuman wypadków niepowiązanych, osób zasłoniętych kurzem bitew i pochodów, ale kto są ci bojownicy, pod jakiemi chorągwiami walczą, co czują i czego pragną — trudno orzec. Pędzi huragan zdarzeń i słów z szaloną szybkością przez 300 stronic a na ostatniej nie wiele więcej wiemy niż na pierwszej. Te niewiadomości powiększa jeszcze zagadkowy stosunek autora do opisywanych ludzi i wypadków. Utrzymuje on się bowem przeważnie w nastroju drwiącym lub wesoło junackim. Nie wzrusza się, nie oburza, nie zachwyca, nie wstrząsa widokami strasznej tragedji, lecz zachowuje wobec nich spokojny, rzadko przerywany humor żołnierski. A jednakże z tego chaotycznego kalejdoskopu wygląda niepospolity i oryginalny talent. Jeżeli „Państewko“ jest debiutem powieściowym p. K. Leczyckiego, to przyznać trzeba, że jest to debiut wiele obiecujący. Pióro autora ma rozpęd brawurowy, pełen śmiałych i niespodziewanych zwrotów. Znać w nim szumiącą i błyskającą siłę młodości własną, nienaśladowaną, o bardzo wysokiem napięciu. W tym utworze zdobywa się ona jedynie na wylew kaskadowy, rozpryskujący swoje sumienie na wytryski niepołączone, ale świeże, połyskujące świetnemi blaskami. Gdy autor uporządkuje swój rozwichrzony talent i trafi na właściwą dla niego formę, tworzyć będzie rzeczy piękne i wartościowe.

A. Ś.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ostatni zeszyt „Kwartalnika historycznego“ (Rocz. XLII, zesz. 3.) przynosi na wstępie źródłową pracę J. Feldmana, dotyczącą genezy konfederacji tarnogrodzkiej. Autor, wyzyskawszy archiwalja drezdeńskie, z powodzeniem obalił dotychczasowy pogląd historyków, wedle którego konfederacja tarnogrodzka była wynikiem rozmyślnej prowokacji saskiej, celem wywołania rokoszu szlacheckiego, którym można było następnie zgnieść i zaprowadzić z kolei rzeczy absolutne rządy wettyńskie. Na miejsce tego nie wytrzymującego krytyki poglądu wprowadza autor w zupełności przekonywujące tłumaczenie genezy konfederacji tarnogrodzkiej. Złożyło się na nią parę czynników od siebie tylko częściowo współzależnych, a współcześnie chronologicznie działających. Była to robota stronnictwa szwedzko-stanisławowskiego, zdążającego do obalenia Augusta II. Drugim czynnikiem były wichrzenia partji moskiewskiej w Polsce i na Litwie, zmierzające również, aczkolwiek z innych pobudek, do detronizacji Augusta. A więc głównym celem konfederacji było obalenie Augusta II, a nie, jak dotąd mniemano, usunięcie wojsk saskich z Polski. Z biegiem czasu stała się dopiero konfederacja przebudzeniem ducha narodowego w walce o wolność. Poza wartościową rozprawą J. Feldmana znajdujemy w „Kwartalniku“ artykuł Br. Popławskiego p. t. „Początki służby ks. Józefa Poniatowskiego w wojsku polskiem“, uzupełniający w wielu ciekawych szczegółach nasze wiadomości o ks. Józefie w latach 1790-2.

Historyka literatury zainteresuje notatka R. Pollaka o Kazimierzu Machnickim znanym z 3-ciej części „Dziadów“. Ogłoszone przez Pollaka dokumenty rzucają na Machnickiego snop światła, niezawsze dodatnio o nim świadczący. Dopełnia zeszytu bogaty dział recenzyj i sprawozdań z literatury bieżącej.

*

Studjum Stanisława Bieńkowskiego p. t. „Ordery i odznaczenia“ (1928. Główna księgarnia wojskowa. Str. 94.) poświęcone jest historji orderów i odznaczeń różnych państw, przed i po wojnie, oraz odtwarza w miniaturze dokonane w tej dziedzinie zmiany i ewolucje. Tak np., w Austrji nadawanych było kilkanaście orderów, zaś obecnie nadawany bywa jeden krzyż, kilku klas. W zwycięskich państwach Ententy, w Anglji, Francji, Belgji, Italji i Japonji utworzono już w czasie wojny kilka rodzajów orderów i odznaczeń. Również powstały nowe ordery w nowo powstałych państwach: w Estonji, Czechosłowacji, Łotwie i Finlandji. Wybitne miejsce w studjum zajmuje opis orderów polskich i artystycznie wykonane ich podobizny.

Książka opracowana jest starannie, nie wolna jednak od wad. Główną wadą jest dowolne, a nie porządkowe, wedle starszeństwa i stopni rozmieszczenie orderów. I tak, wśród włoskich na pierwszym miejscu powinien być wymieniony order Anunciaty, między hiszpańskiemi order Złotego Runa, między szwedzkiemi order Serafinów i t. d. Jest też kilka rażących nieścisłości i błędów historycznych. Order Złotego Runa, nadawany przez cesarzy austrjackich, nie należy do odznaczeń dawnej monarchji austrjacko-węgierskiej, lecz może być dalej nadawany przez głowę Domu Habsburgów. Prawo nadawania tego orderu posiadają Habsburgowie nie tytułem panowania nad Austrją, lecz tytułem dziedzictwa po domu książąt burgunckich, fundatorów orderu. Suwerenny Zakon św. Jana Jerozolimskiego nie ma odznaczeń dla protestantów, tylko jest to Zakon Joannitów w Prusach i Holandji, i nie ma z pierwszym nic wspólnego prócz nazwy: Zakon Rycerzy Teutońskich (*der hohe Deutsche Ritterorden*). — Mylnie też wymieniony został pod dawnemi orderami Austrji, gdyż do dziś dnia może być nadawany, ma siedzibę w Wiedniu i podlega protektarotowi Stolicy Apostolskiej.

Charakterystyczną cechą naszej krytyki literackiej jest, że w sprawozdaniach z książki nie nadmieniono któregokolwiek z wyżej wymienionych sprostowań. Widać, że ozdobne wydanie książki wystarczyło do oceny jej naukowego znaczenia.

*

Ostatnia powieść Jana Wiktora, wydana nakł. Św. Wojciecha, nosi tytuł „Tęcza nad sercem“. Wiktor nie porzucił tu ulubionego *milieu* swych powieści, jakiem jest świat zwierzęcy, owszem wymalował je znów nowemi barwami i wzbogacił mnóstwem nowych obserwacyj, jednakże nie obrał go za cel główny. Uwagę bowiem swoją skupił przedewszystkiem na osobie starej roznosicielki i sprzedawczyni gazet.

Powieść, nader głęboka i prześlicznym napisana językiem, jest w dorobku Wiktora może rzeczą dotychczas najlepszą, a jedną z najlepszych powieści, jakie ukazały się w Polsce powojennej. Kapitalne są, pełne humoru, rozmowy gazeciarki z Kruczkiem, scena sprzedaży koguta lub przygoda żebraczki — kłótnicy. Rzewności pełny jest rozdział, w którym gazeciarka, podobnie jak dziewczynka z zapałkami u Andersena, zostaje na bruku w noc wigilijną, lub drugi — gdy przed konającą gazeciarką jawi się postać św. Franciszka.

*

Twórczość Karola Gjellreupa nader mało znana jest w Polsce. Nagrodę Noblowską dostał Gjellerup podczas wojny, kiedy mało zajmowano się literaturą, poza tem pewne tendencje germanofilskie czyniły go niepopularnym nawet w ojczyźnie; w Niemczech najwięcej był czytywany. Czytelnikom polskim pierwsza udostępniła jego puściznę Biblioteka Laureatów Nobla, wydając kolejno pięć jego dzieł. Żałować należy, że nie pomyślano jeszcze o spolszczeniu dzieł jego najciekawszych i najcelniejszych, jak „Konvolutten“, „Przyjaciele Boga“, „Odczytywaczka myśli“ i inn. Przydałyby się też jakieś wstępy informacyjne o życiu i twórczości pisarza. Z dzieł wydanych dwa: „Pielgrzym Kamanita“ i „Wędrowcy Świata“ (czy nie lepiej poprostu: „Obieżyświaty“?) należą do okresu mistycznnego jego

twórczości (1906-1912), natomiast inne przypadają na lata młodsze Gjellerupa, kiedy ten pisarz — jak tylu innych — podlegał wpływom Brandesa i był naturalistą. Dojrzalsza jest powieść „Młyn" (*Möllen*) przełożona pięknie przez Sierosławskiego, natomiast druga „Dojrzali do życia" ma jeszcze wiele cech niewyrobienia. Przekład Mirandoli niezły, szkoda tylko, że zachowuje niektóre wyrażenia niemieckie, jak kamerjunkier (zam. szambelan'), Agnes (zam. Agnieszka) i t. d. Pastora protestanckiego niesłusznie nazwano parochem, bo to przecie nie ksiądz ruski.

*

W ciągu pół roku pojawiły się dwa wydania poważnego dzieła naukowego, „Historji filozofji" Dr A. Stöckla i dr. J. Weingärtnera. W oryginale niemieckim miała ona cztery wydania, obecnie zaś została przełożona przez ks. Fr. Kwiatkowskiego T. J., profesora seminarjum arcybiskupiego w Poznaniu (wyd. O. O. Jezuitów w Krakowie). Tłumacz, którego należy pochwalić za wzorową polszczyznę (cecha w podręcznikach filozofji rzadko spotykana) dostosował książkę do potrzeb polskich, uwzględniając obszernie w przypisach, niekiedy i w tekście, polską literaturę filozoficzną; żałować należy, że dotąd nie ukazał się zapowiedziany rozdział dodatkowy, poświęcony wyłącznie filozofji polskiej; zapewne dodany będzie w wydaniu trzeciem. I tak jednak książka ma wartość ogromną i przyszła bardzo w porę, gdyż od lat wielu nie mieliśmy polskiego podręcznika do historji filozofji; wyczerpały się bowiem dawne podręczniki Straszewskiego, ks. Pawlickiego, Kozłowskiego i in. nie mówiąc o dwóch tomach Hoffdinga, ciężką polszczyzną przetłumaczonych przez Mahrburga. Zaletą książki jest ponadto wielka przejrzystość i jasność wykładu oraz bezstronność w osądzeniu poszczególnych szkół i kierunków filozoficznych. Autorowie, jak i tłumacz, hołdują kierunkowi neoscholastycznemu (neotomizmowi), to też kierunek ten uwzględnili może obszerniej, niż inne, na czem jednak ani wartość ani konstrukcja dzieła nic nie tracą.

*

Dwutomowe dzieło Emila Ludwiga „Napoleon", wydane przez Wydawnictwo Polskie w Poznaniu, zaleca się trzema rzeczami — piękną szatą zewnętrzną (zwłaszcza czystością i rozmaitością ilustracyj), starannym przekładem Staffa i żywością fabuły, sprawiającą, że rzecz całą należy raczej poczytać za powieść o Napoleonie, niż za monografję o nim. Powiedzieć to należy i dlatego, że celem, jaki sobie autor postawił, było nakreślenie psychologicznego obrazu wielkiego cesarza, a nie jego czynów. Cel ten zresztą nie wszędzie został osiągnięty, postaci bowiem takiej, jak Napoleon, nie można zbyć trybem feljetonowym i anegdotycznym; trzeba się w nią wmyśleć głęboko, stawiać ją nietylko na tle najbliższego otoczenia albo doraźnych zdarzeń, ale całego pokolenia i społeczeństwa ówczesnego, czy może nawet kilku społeczeństw i pokoleń. Nas polaków razić musi przedewszystkiem głuche niemal milczenie o osobie tak wybitnej, jak ks. Józef Poniatowski, który przecie był nietylko ostatnim marszałkiem Francji, ale i promotorem ważnych faktów dziejowych z napoleońskiej epoki. O Sułkowskim niema ani słowa! Natomiast o różnych niemcach, którzy grali trzecio i czwartorzędne role i ledwo są godni wzmianki, często — gęsto tu mowa. Nie są to zresztą jedyne usterki tego dzieła, które z punktu widzenia historjograficznego ma wartość nienazbyt wielką.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W wytwornem wydaniu (Editions Jules Tallandier) ukazał się zbiór rozpraw Karola Maurrasa p. t. „*Les Princes des Nuées*".

Znakomity pisarz francuski od szeregu już lat walczy z ideologją postępowo-radykalną oraz liberalną. W wymienionej powyżej książce zgromadził to wszystko, co napisał o najwybitniejszych przedstawicielach tego sposobu myśleniu. Obok konserwatystów liberalnych takich, jak duc Albert de Broglie, hr. d'Haussonville, Denys Cochin i im podobni, znajdujemy sylwetki ideowe przedstawicieli demokratycznego i socjalistycznego sposobu myślenia, jak np. Ferdynanda Buissona, Jana Jaurésa, Leona Bourgeois i Edwarda Herriota.

*

Pracę napoły medyczną, napoły z dziedziny historji sztuki ogłosili dwaj lekarze francuscy Victor Doiteau i Edward Leroy p. t. „*La folie de Vincent van Gogh*". (Paris, éditions „Aesculape" 1928) Dr. Leroy jest lekarzem zakładu dla obłąkanych w Saint-Remy de Provence, gdzie van Gogh był na kuracji. Dzieło o „szaleństwie van Gogha" pozwala wniknąć głębiej w pełne udręki życie duchowe wielkiego artysty, który tak ogromny wpływ wywarł na kierunek i rozwój malarstwa dzisiejszego. Autorowie książki opisują tragiczną walkę wewnętrzną, jaką van Gogh, świadomy swych celów twórca, staczał ze swoją chorobą, niszczącą i obezwładniającą jego talent.

Ozdobą książki jest czterdzieści kilka bardzo starannie wykonanych reprodukcyj dzieł malarskich van Gogha.

*

Ze znacznem opóźnieniem ukazał się ostatni zeszyt (czerwiec—sierpień) czasopisma włoskiego „*Politica*", które wychodzi już rok dziewiąty pod redakcją Francesca Coppoli. Jest to duży tom o 500 str. i przynosi szereg interesujących rozpraw z dziedziny polityki włoskiej i międzynarodowej. Na szczególną uwagę zasługuje artykuł samego redaktora o pakcie Kelloga „*La guerra fuori i legge*", oraz artykuł p. Antoni Paguno p. t. „*Dalla Rivoluzione Francese alla Rivoluzione Fascista*", poświęcony rozważaniom na temat istoty państwa. „*Politica*" jest niewątpliwie jednem z najlepszych czasopism politycznych, jakie się ukazują w Europie.

*

Pułkownik Carlo Geloso ogłosił ostatnio jako 7 tom wydawnictwa „*Commentarii della Vitoria*" pracę p. t. „*Gorizia e Bainsizza*" (Gorycja i Bainsizza). Tom ten traktuje ze znajomością rzeczy o dwóch kapitalnych bitwach z ostatniej wojny. Niezmiernie ciekawe są szczegóły o chwili, gdy wojska włoskie w przeciągu zaledwie kilku dni przeniosły punkt ciężkości oporu z okolic Vincenzy ku Gorycji i z niej wyparły wroga. Po bitwie pod Bainsizzą Austrja uznała się za niezdolną do stawienia czoła sama włoskim wojskom.

*

Generał Alberto Baldini, dyrektor przeglądu „*Esecito e Nazione*" wydał piękną monografję p. t. „*Diaz*". Trzy punkty działalności zmarłego głównodowodzącego armji włoskiej księcia *della Vittoria* są tu podniesione: rewaloryzacja wojska zaraz po zachwianiu się nad Isonzą, aż do zwycięstwa nad Piave; ofenzywa nad Piave (czerwiec 1918), w której została złamana potęga Austrji; wreszcie zaś znakomita akcja w październiku tegoż roku, dzięki której Włochy odniosły zwycięstwo w wojnie wszechświatowej.

Baldini cytuje dokumenty urzędowe dotychczas nieznane. Interesujący jest szczegół przytoczony przez autora, iż 1 listopada 1918 roku przyszła do Głównej Kwatery, przejęta przez włoską stację iskrową, depesza tycząca porozumienia między Komitetem Jugosłowiańskim z Pola, a prezydentem Wilsonem w celu przyśpieszenia przybycia dywizji marynarki Stanów Zjednoczonych do portu Pola. Diaz po przejęciu tej depeszy natychmiast skierował akcję w stronę, o której była mowa w depeszy, i wymógł, by dopóki zawieszenie broni nie zostanie zawarte, cała flota austrjacka była uważana za nieprzyjacielską. Tym sposobem plan jugosłowian został pokrzyżowany.

Diaz też na pierwszą wiadomość o wycofaniu wojsk austrjackich z Tryjestu, który już pragnęła zająć Jugosławja, zarządził, aby sztandar włoski został wywieszony nad miastem i aby wysłany tam generał włoski sprawował rządy w imieniu Włoch.

*

Gioacchino Volpe ogłosił pod ogólnym tytułem „*Corsica*" (Ist. Editoriale scientifico-Medjolan) zbiór artykułów drukowanych po różnych przeglądach. Bardzo ciekawe jest pierwsze studjum „Europa i Morze Śródziemne w XVII i XVIII stuleciu; jakim sposobem Korsyka stała się francuską". Przedstawione tu są walki korsykanów o wolność i scharakteryzowana piękna postać bohatera patrjoty, Pasquale Paoli. Wysiłki patrjotyczne korsykanów doznała porażki pod Fontenuovo; Pasquale Paoli umarł na wygnaniu. Od tej chwili życie korsykanów jakoby zatrzymało się.

W drugiem studjum pt. „Bliscy i dalecy Włosi: Korsykanie" Volpe stara się wykazać charakterystyczne cechy korsykanów.

Wreszcie w studjum: „Korsyka po 1769 roku" autor pisze: „W ostatnich dziesiątkach lat, duch patrjotyczny zaczyna znów wśród młodzieży się podnosić.. Znów oczy korsykanów zwracają się ku jasnej postaci ich bohatera Pasquale Paoli i ku jego towarzyszom... Młodzież pracuje nad językiem rodzimym z całym pietyzmem".

*

Marco de Rubris wydał bardzo ciekawe pisma Massima d'Azeglio z czasów jego gabinetów t. j. między 1849 i 1852 rokiem, a następnie z czasów Cavour'a od 1853 — 1860 r. (wyd. Sten. Turyn).

D'Azeglio korespondował wówczas z Gallottim, dziennikarzem toskańskim i wielkim patrjotą, który wraz z Marco Tabarrinim byli głównymi współpracownikami dziennika „*Lo Statuto*" założonego przez grupę dziennikarzy toskańskich na miejsce zawieszonego „*Conciliatore*". Korespondencja ta odsłania bardzo ciekawe nastroje intelektualistów toskańskich wobec akcji politycznej w okresie „*Risorgimento*". Korespondencja wykazuje, iż d'Azeglio nie był przeciwnikiem Cavour'a, przeciwnie podziwiał szerokość i głębię jego poglądów i jego genjusz polityczny.

OFENSYWA

AKADEMJA DZIESIĘCIU

Zeszłego roku o tym czasie wrzała batalja o Akademję. Zwolennicy i adwersarze krzyżowali ze sobą szpady polemiczne, że aż iskry leciały na publikę. Po jednej stronie: „za" stanęli ci, co mieli 65 — 100% szans wybrania względnie odkomenderowania do aktualnej nieśmiertelności; po drugiej ci wszyscy ławą, co niby ani marzyć, źle widziani, niebłagonadióżni albo wogóle bardzo niewyraźnie. W krytycznym momencie grono stojące „za" wydało odezwę do narodu, rodzaj orędzia względnie *breve*, w której niestety wkradło się chyba w nocy niespodzianie przeszło dwadzieścia błędów gramatycznych i stylistycznych, poprostu „byków"..; gimnazista z szóstej gdyby coś podobnego niby, no to poprostu: „wcale niedostatecznie" no... i kompromitacja przed kolegami... A tu tymczasem same rzewne nieśmiertelniki, a tu byk na byku i bykiem pogania, a dodajmy orędzie nie duże. Na tem sprawa utknęła. Jehowa już nie chciał słyszeć dalej o tej zabawie. Sprawę odłożono *at feliciora tempora* t. j. *ad calendas graecas*, „do Maja" względnie „do luftu". Mało z tego było płaczu w narodzie, ale u zainteresowanych zgrzytania zębami sporo. Żałować niema czego. Akademja taka bez A. Świętochowskiego na czele byłaby wprost „śmiszną" nie śmieszną, śmiszną. Kłopotów z tem byłoby powyżej uszu. *Irritabile genus vatum*.

Również dużo kłopotu ma ze swoją znowu italski dyktator. Trzy lata temu powziął ideę (od czasu Mazariniego wypróbowany sposób tresowania dzików i odyńców literatury na tuczoną, różową, dworską nierogaciznę) i szło mu z tem jak z kamienia, najtrudniej. Pałac na siedzibę był, fundusze były, kandydaci owszem, tylko po drodze do realizacji kilka głazów trudnych do ominięcia. Z liktorskiemi rózgami już się wszyscy omal pogodzili oprócz dwóch starszych panów dość znanych wreszcie Europy: Benedetto Croce i Gugliemo Ferrero. Akademja bez tych dwóch nie miałaby autorytetu intelektualnego i moralnego. Ci zaś z Benitem ani rusz. Wobec tego dyktator wpadł na taki pomysł figlarny, żeby na razie dostarczyć nieśmiertelności tylko trzydziestu pięciu, a ponieważ i na to by nie starczyło i na liście znalazłyby się *nomina ignota* Europie, więc tedy wpakować Akademji jeszcze muzyków, mężów stanu, malarzy, rzeźbiarzy i w ten sposób lista rzeczywiście nabrała blasku. 21 kwietnia w rocznicę założenia Rzymu nastąpi uroczyste otwarcie.

I oto co teraz robią malkontenci? Czy dają za wygraną ci, co nie mieli najmniejszych szans wybrania albo byli na bakier z *Il Duce*? Nie. Już w Marcu zeszłego roku zawiązali sobie Grupę Dziesięciu. Ułożyli sobie statucik, znaleźli sobie Maecenasów, ci złożyli fundusik, nastąpiło otwarcie i oto powstała „prywatna" Akademja, rodzaj Akademji Goncourtów. Stary pan F. T. Marinetti jest prezesem. Do grupy należą: Beltramelli, Bontempelli d'Ambra, de Stefani, Martini, Milanesi, Al. Vraldo, Viola, Zuccoli. Co więcej, ta pierwsza dziesiątka wydała już dwie powieści pisane *viribus unitis* przez całą dziesiątkę; pierwsza nosiła tytuł: „*Le Zar nonè Morto*", druga: „*Il Novissimo Secretario Galante*".

Otóż to samo zdaje się możnaby zastosować i u nas. Najpierw założyć *Salon des Refusés*. Dziesięciu takich, co to niby ani mowy, żeby na ich nominację Jehowa się zgodził albo wogóle niby żadnych szans na jaką taką *immortalité* w bieżącem pokoleniu. No i potem wszystko wedle włoskiego modelu. Poszukać Maecenasów literatury, żeby zebrali większe fundusze. Jest ich pełno w sferze ziemiańskiej i w patrycjacie miejskim, tylko czekają, a potem wziąć się do pisania społem jednej powieści na dziesięciu Remingtonach. Zrobić to da się łatwiutko bo my som zgodny naród a w literackich sferach poprostu idylla. Miłują się wzajem braciszki, jako te owieczki się miłują. Wydać taki tom w dziesięciu. A potem czekać! Wtedy szybko nadejdzie Akademja druga, państwowa. No, a skoro będą dwie Akademje, to już i literatura cała ruszy naprzód jak z kopyta. Od nieśmiertelników się zaroi. Arcydzieła będą się rodzić na kamieniu! Byle, byle uwzględniać gramatykę i stylistykę w orędziach do narodu.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Niesłychany skandal zdarzył się w Krakowie w łonie sądu konkursowego, który — jak donosiliśmy w poprzednim numerze, przyznał nagrody za sztuki dramatyczne: Rostworowskiemu, Nowaczyńskiemu i Goetlowi. Dwaj członkowie sądu, dziennikarze krakowscy z obozu antynarodowego: żyd Haecker i jego (od hrabiów) przyjaciel Beaupré, niezadowoleni z głosowania, urządzili sąd nad sądem w swoich dziennikach, zarzucając członkom sądu nieuczciwość. Pozostali członkowie sądu ogłosili komunikat, odmawiający tym panom kwalifikacji ludzi honorowych. Oto nauka na przyszłość, że trzeba wybierać jedno z dwojga: albo się robi kulturę i dobiera do tego ludzi kulturalnych, albo tworzy się zbieraninę z ulicy, ale wtedy niema mowy o kulturze, chyba o sanacji. Oczywiście gdyby Kraków postąpił wzorem Warszawy urzędowej i do sądu powołał połowę żydów, nie byłoby tego skandalu, bo wyrok wypadłby po myśli żydów. O Haeckerze pewno myślał moralista żydowski Słonimski, kiedy pisał: Być żydem i do tego chamem, to za wiele naraz. Ale w takiem towarzystwie literat goj musi sobie powiedzieć: być gojem i do tego ustępliwym — to zawiele naraz. Dlatego źle zrobili dwaj nagrodzeni autorowie, zrzekając się nagród. Delikatność ich tylko rozuchwali awanturników.

*

Zabawne bywają sytuacje. Kiedy nagle otrzymuje dymisję minister sprawiedliwości, to powody tej dymisji z namaszczeniem wyjaśnia... p. Stpiczyński, dając do myślenia, że on tej dymisji jest sprawcą. Mówi wprost, o co mu chodziło (№ 4. Głos Prawdy). Procesy, które p. Meysztowicz wytaczał wywrotowcom i separatystom na Białej Rusi (Hromada), — „są przeciwne interesom państwa". Pokazuje się, że obrońców interesów państwa — ktoby przypuszczał — szukać należy między ludźmi, wielokrotnie skazanymi na karę za działalność antypaństwową. Konserwatysta Meysztowicz osądzony za antypaństwową działalność przez swego klijenta z sądów. Notowaliśmy w swoim czasie, że kiedy na sejmie min. Meysztowicz w odpowiedzi na interpelację wyjawił powód, dlaczego Stpiczyński pozostaje na wolności (ułaskawienie na prośbę) w tymże organie ukazała się nazajutrz pogróżka pod adresem ministra. Teraz klijent wyjaśnia powody dymisji, stając jawnie w obronie wywrotowców.

*

Z okazji morderstwa politycznego, popełnionego przez przedstawiciela „sanacyjnej" frakcje P. P. S. (t. zw. „B. B. S".) w Piotrkowie, słusznie pisze p. W. G. w półurzędowej „Epoce": „Trzeba zmienić słownictwo polityczne wodzów i redaktorów, to przekształci się też postępowanie szeregowców i sympatyków partyjnych. W przeciwnym razie jedynego ratunku wyczekiwać należy od rządu, który zapewnił, że nie dopuści, abyśmy znaleźli się w środkowej Afryce i z o b o w i ą z a n i a s w e g o d o t r z y m a".

Rzeczywiście, w wielu wypadkach byłoby z najrozmaitszych względów pożądane, jeśliby rząd istotnie potrafił zmienić dotychczasowe „słownictwo polityczne wodzów"... W każdym razie zaś mocna zapowiedź półurzędowego dziennika, iż „rząd nie dopuści byśmy znaleźli się w środkowej Afryce" budzi w społeczeństwie otuchę, że szereg bolesnych, tajemniczych spraw, które oddawna niepokoją opinję publiczną, zostanie nareszcie wyjaśniony.

Tylko może... w środkowej Afryce nie giną bez wieści generałowie?...

*

Dzienniki sanacyjne pod dwuszpaltowemi nagłówkami podają telegram P. A. T. o wrażeniach, jakie korespondent dziennika paryskiego „*Excelsior*" p. Henryk Hertz (wszędzie są Hertze!) odniósł podczas pobytu w Belwederze. „P. Hertz" — doniesiono we wspomnianej depeszy — „opisuje, iż po długich staraniach dostał się do Belwederu, gdzie po półgodzinnem oczekiwaniu miał możność ujrzenia Marszałka... Dalej pisze p. Hertz, iż gdy go przedstawiono Marszałkowi, Marszałek uścisnął mu mocno rękę, ale uchylił się od wszelkiego wywiadu, udając się do dalszych apartamentów. W entuzjastycznych wyrazach opisuje autor wrażenie, jakże wywarł na nim Marszałek Piłsudski"...

A to ci entuzjasta ten p. Hertz! Płomienne serce!..

*

W „Kurjerze Porannym" (nr. 6) Boy-Żeleński broni stanowiska masońskiego w sprawie rozwodów i atakuje kościół katolicki za jego obronę zasady nierozerwalności małżeństwa. Argumenty p. Żeleńskiego są proste: ileż razy — powiada — unieważnienie otrzymuje się wskutek krzywoprzysięstwa świadków, albo też świadomie fałszywej, nieuczciwej ekspertyzy lekarskiej...

Jest rzeczą godną zastanowienia, że atakować katolików można tylko przy pomocy jednego argumentu, mianowicie zarzucając im, że nie wypełniają w sposób sumienny nakazów swej religji. Masoni natomiast wówczas właśnie najbardziej godni są potępienia, kiedy zasad swoich trzymają się najściślej.

*

We Frankfurcie nad Menem obradował ostatnio kongres Międzynarodowej Ligi Kobiet dla Spraw Pokoju i Wolności. Główny referet wygłosił prof. dr. Lewin (w tym wypadku z gałęzi rodu Lewinów, reprezentującej Niemcy). Jak donosi obszerne sprawozdanie telegraficzne P. A. T. — „przemówienie prof. Lewina wywarło niebywale wielkie wrażenie na słuchaczach, wśród których dały się słyszeć głośne szlochy. Kilka delegatek opuściło salę, nie mogąc słuchać w spokoju opisów, kreślonych przez prelegenta".

Pp. Lewinowie powinniby jednak być troszeczkę mniej porywający w swem krasomówstwie. Cóżby się stało, jeżeliby wszystkie uczestniczki kongresu nagle zaczęły „głośno szlochać", albo też musiałyby ze wzruszenia „opuszczać salę"? Uniemożliwiłoby to uchwalenie rezolucji pacyfistycznej, a wówczas...— strach pomyśleć! — nic nie stanęłoby na przeszkodzie wybuchowi nowej wojny!

NOWE KSIĄŻKI

Wołoszynowski Juljan. Słowacki. Powieść. Z przedmową St. Wasylewskiego. Poznań. Wydawn. Polskie.

Księgarnia Św. Wojciecha w Poznaniu wydała:

Bauman Emil. Znak na dłoni. Przekład autoryz. S. J. G (odlewskiego).

Iłłakowiczówna Kaz. Czarodziejskie zwierciadełka. 50 wróżb wierszem.

Zegadłowicz Emil. Zegar słoneczny w chińskim ogrodzie. (Poezje).

Dla młodzieży: Zagórowski Miecz. W puszczy Teksasu. Powieść. Wyd. 2. — Rosinkiewicz Kaz. Wesoły turniej. Powieść. Kap. Marryat. Wśród koralowych raf. Wyd. 3. — Przyborowski Walery. Król Krak i królewna Wanda. Z ilustr. — Weryho Marja. Wśród swoich (dla dzieci). — Jeleński S. inż. Śladami Pitagorasa. Rozrywki matematyczne z 285 rys.—Cooper F. J. Tropiciel śladów. Powieść.

Księgarnia Polska Tow. Pol. Macierzy Szkolnej wydała:

Rosinkiewicz Kaz. Rogaty djabełek i jego bajki. Powieść. Z ilustr. A. Gawińskiego.

Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała dla młodzieży i dzieci:

Sienkiewicz. Krzyżacy. — Sienkiewicz. Quo Vadis? — Zaleska M. J. Młody wygnaniec. Wyd. 6.

Zaleska M. J. Iskierki. Wyd. 4 c. — Bogusławski Antoni. Zajączki, 2 rys. Ks. Koźmińskiego.—Makuszyński Kornel. O dwóch takich co ukradli księżyc. Z ilustr. K. Sopočki. Barszczewski Stefan. Na szlaku sławy, krwi i złota. — Oppman Artur (Or-ot). Kochaj żołnierza. — Czajkowski Antoni. Baśń o żelaznym wilku i pięknym królewiczu. Z il. K. Mackiewicza. — Zaleska M. J. Księżniczka Katarzyna. Wyd. 3. — Maszyński P. Polski śpiewnik szkolny, cz. V. — Bogusławski Antoni. Żywe literki. — Siedlecki Michał. Skarby wód. Wyd. 2. 123 rys.—Morawska Z. Na zgliszczach Zakonu. Z 9 ilustr. Wyd. 2. — Bogusławski An. Różne powiastki. Z 13 ilustr. M. W. Chajkinowej. Zaleska M. J. Bajeczki prawdziwe. Wyd. 8. — Smolarski Miecz. Młodość sławnych Polaków. Z 15 ilustr.

Rutkowski Szczęsny. W 150 dni naokoło świata Geb. i W.

Reymont Wł. St. Krosnowa i świat. Nowele. Z przedmową A. Grzymały Siedleckiego. Gebethner i Wolff.

Mickiewicz Adam. Dzieła. Pod redakcją M. Kridla. Z przedmową Boya Żeleńskiego. Warsz. 1929. Bibljoteka arcydzieł literatury T. 1 — (w oprawie. Cena zł. 8.50).

Doiteau V. Leroy E. *La folie de Vincent Van Gogh. Préface de P. Gachet. Paris 1928. Coll. „Sous le signe de Saturne“*. S. 142. (Ilustr.).

Księgarnia F. Hoesicka wydała:

Dobrowolska Halina. Zielony parawan (Nowele).

Brzostowska Janina. Najpiękniejsza z przygód. (Poezje).

Rytard Mieczysław. Noże wiosny (Poezje).

Pawlikowska Marja. Paryż (Poezje).

Brzękowski Jan. Psychoanalityk w podróży. Powieść.

Szelągowski Adam. Stany Zjednoczone A. P. — U. S. A. Tworzenie państwa i konstytucji. S. 286.

Adamkiewicz Jerzy. Rolnictwo w ustroju gospodarczym powojennych Niemiec i jego widoki na przyszłość. S. 140.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

H. G. Wyrazy, o które Pan pyta, użyte w artykule literackim — „porkografja" i „koprofagja" mają już swoją historję w krytyce literackiej. Autor używa ich dla skrócenia dość drastycznej charakterystyki właściwych niektórym pisarzom upodobań. „*Porcus*" po łacinie znaczy: wieprz, „koprofagja" (spożywanie nieczystości) to znana psychjatrom postać demencji.

TREŚĆ: Rzym czy Bizancjum? *St. Kozickiego.* — Ku katastrofie konserwatyzmu *K. M. Morawskiego.* — Konjunktura patosu *K. L. Konińskiego.* — Towianizm we Włoszech *Z. Szmydtowej.* — Liberum Veto *Al. Świętochowskiego.* — Głosy: Na fali socjalizmu; Wobec filmowanych legend *Ign.* — Powrót królów *S. K.* — Wychowanie narodowe *Outsider* — Nauka i literatura (Państewko *A. Ś.* i t. d.) — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie. — Nowe książki. — Odpowiedzi Redakcji

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, za granicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.106.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM